№ 49. Warszawa, dnia 4 Grudnia (22 Listopada) 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

GAŁĄZKA OLIWNA.

„Stosunki Niemiec ze wszystkiemi państwami zagranicznemi są przyjazne i zadawalające. Polityka Jego Ces. Mości zmierza bez przerwy ku temu, aby nietylko narodowi niemieckiemu zapewnić błogosławieństwa pokoju, ale i dla utrzymania jedności mocarstw użyć w radzie Europy swojego wpływu, który polityce niemieckiej zapewnionym jest skutkiem jej doświadczonego zamiłowania pokoju."

Takiem oświadczeniem w imieniu cesarza Wilhelma minister Bötticher zakończył mowę tronową, otwierającą obrady parlamentu niemieckiego. Chociaż było ono frazesem, stale powtarzanym przy wszystkich tego rodzaju uroczystościach, gazety pochwyciły je i zawiesiły u wielkiego dzwonu. W chwili niepewności położenia i nieuciszonych obaw o jutro, takie uspokojenie, wypowiedziane ze stanowiska w znacznej mierze rozstrzygającego o losach Europy, miało swoją niewątpliwą wagę, a nawet przynosiło poniekąd niespodziankę. W porze bowiem, w której na ustach i pod piórami uwijał się ciągle wyraz *wojna*, gałązka pokoju musiała wywołać niejakie zdziwienie.

Ale zdziwienie to trwało krótko, zaledwie tyle, ile czasu upływa między pierwszem wrażeniem a rozwagą. Koniec mowy tronowej zapowiadał trwałość pokoju, ale początek? „*Najważniejszem* zadaniem— powiada monarcha niemiecki — które zająć ma parlament w obecnej sesyi, jest dalsze ubezpieczenie *siły zbrojnej* państwa." Jeżeli „stosunki Niemiec ze wszystkiemi państwami zagranicznemi są przyjazne i zadawalające," jeżeli ich „doświadczone zamiłowanie pokoju" utrzyma swój wpływ, na co armia stała ma być powiększona o 40,000 żołnierzy? Obecna jej cyfra, wynosząca blisko pół miliona, wystarcza przecie do ozdoby „pokoju," zwłaszcza że deficyt skarbu wzrasta a kraj pod brzemieniem podatków ugina się. Nadto budżet wojenny Niemiec, uchwalony w r. 1880 traci swą ważność dopiero w r. 1888, po cóż więc już teraz zatwierdzać go na lat 7 i to ze znacznem podniesieniem wydatków? Nie żadna liberalna, ale zachowawcza i półurzędowa gazeta *Post* tak pisze o tem nowem wymaganiu rządu: „Wszelkie podwyższenie ciężarów wojennych i pomnożenie podatków jest dla nas nie mniej przykrem, niż dla kogokolwiek. Dla nas również wszelki niezbędny krok w tym kierunku jest złem koniecznem, wymagamy też od każdego posła, ażeby najściślej zbadał konieczność żądań, obejmujących podwyżkę środków i sił osobowych lub finansowych na cele wojenne. Gdzie brak będzie dowodu potrzeby i odpowiedniości w słusznem zaspokojeniu jej, odrzucenie takich żądań jest nietylko prawem, ale i obowiązkiem każdego posła. Najściślejsze przestrzeganie tej powinności bacznego i sumiennego badania wydatków wojskowych staje się tem pilniejszem w czasie ogólnej biedy. Jeżeli cywilizacyjny poziom narodu nie ma się obniżyć, należy każdy fenig uszanować!"

Powtarzamy: tak ostrzega dziennik półurzędowy, będący organem stronnictwa bezwzględnie uległego ks. Bismarkowi. Skoro więc tego rodzaju pismo z takim naciskiem przypomina posłom obowiązek zbadania „konieczności" nowych ofiar na cele wojenne, to widocznie rząd nietylko to konieczność widzi, ale spodziewa się parlamentowi ją wykazać. Dalej — skoro rząd niemiecki uznaje w obecnej porze potrzebę pomnożenia wojska, to rószczka oliwna jest tylko malowaną.

Mimo „doświadczonego zamiłowania pokoju" w polityce niemieckiej, wiadomo nawet dziecku, że ta polityka stworzyła i podtrzymuje dzisiejsze wielkie uzbrojenia Europy. Niemcy stanowią dla niej w tym względzie wzór, przykład, one wywołują tę „konieczność," której jakoby same ulegają. Każdemu ich podszrubowaniu w górę budżetu wojennego odpowiadają natychmiast podobne czynności w innych państwach. Właściwie zatem pozorne z tej strony uspokojenie, po dokładniejszym rozbiorze, zamienia się na podsycenie trwogi.

Jakoż prasa europejska, odbiwszy w swych łamach blady uśmiech radości, wywołany końcem mowy tronowej, rozpamiętywa teraz jej początek i wierci domysłami bądź 40,000 przyrostu żołnierzy, bądź 50 milionów marek podwyżki wydatków na „ubezpieczenie siły zbrojnej państwa i rękojmię trwałej obrony dóbr pokoju." Ci, którzy mają tę "rękojmię" opłacić, wzdychają smutnie nad nową ofiarą, nietylko powiększającą ciężar życia, ale także i obawy. Gałązka oliwna coraz bardziej traci swą zieloność, blednie i przybiera postać rózgi kometowej na niebie politycznem.

Niedługo parlament przystąpi do obrad nad tym nowym apetytem budżetu, a jakkolwiek *Nordd. Allg. Ztng.* wzywa wszystkie stronnictwa do jedności, niektóre z nich staną oporem a wtedy ks. Bismark będzie musiał przyjechać do Berlina i rozwiać ostatnie kłaczki złudzeń wiary w "przyjacielskie stosunki," ukazując—jak to zwykł czynić w takich przypadkach — "czarne punkty" na widnokręgu. Cienie tych punktów zaćmią gwiazdkę pokoju, świecącą w mowie tronowej.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sezon przemówień trwa dalej w pełni. Uspakajające wrażenie czynią mowy ministrów: francuskiego, Freycineta i włoskiego, hr. Robillanta. Pierwszy uznał sprawę bułgarską za niezwiązaną z interesami żywotnymi Francyi, natomiast zapowiada, że jeśli Anglia nie postara się o rozstrzygnięcie kwestyi egipskiej i kanału suezkiego w taki sposób, aby Egipt nie pozostawał w rękach angielskich wyłącznie, natenczas oba te przedmioty wniesione zostaną przez rząd francuski przed forum europejskie. Rzecz jasna, że francuzom chodzić będzie o większość głosów w radzie europejskiej; żeby ją tedy zjednać, przyłożą się w granicach swej możności do utrzymania pokoju. Hr. Robillant oznajmił, że Włochy są w dobrych stosunkach ze wszystkiemi mocarstwami, w najserdeczniejszych atoli z Niemcami i Austryą, do których pokojowego programu przyłączyły się. Nad wszystkie atoli te przemówienia głośniejszą jest mowa cesarza Wilhelma, nad którą zastanawiamy się na innem miejscu dzisiejszego numeru. Można ją podzielić na trzy części: w pierwszej zapewnia o miłości pokoju, o bezinteresowności Niemiec wobec toczących się kwestyj, zwłaszcza o ścisłej przyjaźni cesarza z dwoma sąsiednimi dworami; w drugiej domaga się powiększenia wojsk niemieckich; trzecia poświęcona sprawom wewnętrznym.

„Klucz sytuacyi“— jak słusznie zauważyła *Gaz. Warsz.*—znajduje się nie w Wiedniu, Londynie, ani w Berlinie. Że jednak i Rosyi nie zależy na tem, aby działom i karabinom powierzyć głos ostateczny, o tem mówiliśmy w poprzednim artykule.

O dobrych stosunkach Austryi z Włochami świadczy charakterystyczne zajście. Francuski klerykalny *Monde* zamieścił wiadomość z Rzymu, że wskutek noty okólnikowej Watykanu rząd austryacki porozumiewa się z innemi państwami katolickiemi względem osłony osoby papieża od zniewag i że Hiszpania przyrzekła już swoje współdziałanie. Wiedeńska *N. fr. Presse* oświadcza na to, że w obecnej chwili Austrya nie mogłaby nawet podejmować jakiejkolwiek inicyatywy przeciw Włochom.

Francuskie ministeryum Freycineta omal że nie runęło przy rozprawach budżetowych. Ocaliło się, przystępując do programu: „ani nowych pożyczek, ani nowych podatków.“ Jak potrafi z takim programem wzmocnić flotę wojenną, jest to zagadką przyszłości. Tymczasem podnoszą się głosy, wskazujące konieczność wzniesienia nowych obwarowań w cieśninie Kaletańskiej, żeby ją zamknąć przed coraz groźniejszą flotą niemiecką.

Arcybiskupi i biskupi francuscy, zgromadzeni na pogrzeb kardynała Guiberta, w liczbie 33, przesłali prezydentowi Grévemu protest przeciw „bezbożnemu prawu o wykształceniu początkowem,“ wyrażając nadzieję, że za wpływem naczelnika państwa prawo powyższe „będzie przeprowadzone z umiarkowaniem i pewnem uwzględnieniem potrzeb kościoła.“ Wiadomo, że według wspomnianego prawa nauczanie religii w szkołach początkowych jest dowolne, nie zaś obowiązujące, jak dotąd. Podobne prawo istnieje w Stanach Zjednoczonych bez żadnych złych następstw i tameczni katolicy nie występują z protestami, bo też tam stronnictwo kościelno-polityczne nigdy nie istniało. We Francyi duchowieństwo nie myśli zrzekać się działalności politycznej, i państwo musi z trudem bronić się przed jego wpływami.

Gubernatorem Tonkinu po Pawle Bercie został p. Bihour, zdolny finansista podobno.

W Austryi komisya budżetowa delegacyi cislitawskiej przyjęła jednogłośnie kredyt na uzbrojenie armii w karabiny magazynowe. Rezerwiści austryaccy, których wielu mieszka w Bułgaryi, gdzie trudnią się rzemiosłami, otrzymali wezwanie powrotu do kraju. Donosi o tem depesza Ag. półn. z Dżurdżewa.

O hr. Janie Tarnowskim, następcy Zyblikiewicza, korespondenci pism warszawskich dosyć zgodnie twierdzą, że jestto dobry człowiek, dobry gospodarz, ale ze słabemi zdolnościami. Stańczycy wynieśli go na godność marszałka, żeby sobie jaknajszerszy wpływ zapewnić. Przyszłość pokaże, czy dobrą drogę wybrali.

Korona bułgarska nowych kandydatów znajduje w osobach: ks. Bogoridesa, który jest bratankiem Aleko paszy i podobno stronnikiem Rosyi, ks. Oldenburskiego i ks. Ferdynanda, z linii habsbursko-gotajsko-saskiej, oficera wojsk austryackich, spokrewnionego z wielu panującymi domami. Celem spieszniejszego rozstrzygnięcia tej sprawy, deputacya bułgarska wybrała się w podróż po dworach europejskich, zamierzając zarazem i drugą pieczeń upiec: zaciągnąć pożyczkę, tem niezbędniejszą dziś, że Turcya domaga się wypłacenia haraczu, a środków na to brak. Benderow i Dmitriew, oficerowie bułgarscy, uszestnicy zamachu przeciw ks. Aleksandrowi Battenbergowi, nie przestają rozwijać agitacyi z miejsca dzisiejszego swego pobytu, z Bukaresztu. Tymczasem rejencya stłumiła rozruchy w Ruszczuku, Szumli, Burgasie, Filipopolu i Szumli, przedsięwzięła środki przezorności policyjne, paszportowe i odkryła zamiar buntu w szkole junkierskiej w Sofii, gdzie nauczyciel Teparowicz usiłował junkrów do spisku nakłonić; proces Teparowicza ma się niebawem rozpocząć, a ponieważ będzie publiczny, więc budzi zaciekawienie.

Z FRANCYI.

Paryż, 25 listopada.

Partya monarchiczna i tworzenie się prawicy republikańskiej. — Koalicya monarchiczna i „solucyoniści“ — Wybory 4 października 1885 r. i wydalenie pretendentów. — Projekt i program republikańskiej prawicy. — Lewy środek i oportuniści. — Katolicki republikanizm. — Widoki na przyszłość.

Bieżąca polityka liczy się tylko ze stronnictwami republikańskiemi we Francyi. Po za tryumfującym jednak obozem republikańskim stoi wyczekujący tryumfu — monarchiczny. Oba te wrogie tabory toczą wciąż walkę jawną lub skrytą. Od niedawna zaczęła się dokonywać w łonie ostatniego nader charakterystyczna przemiana, która nie pozostanie zapewne bez wpływu na dalsze losy Rzeczypospolitej. Wskutek

---

2)

POWIEŚĆ.

OBŁAWA.

Obrazek poleski.

Za przewodem leśnika z piersi naganiaczów wypadło trzykrotne niesforne „tiu ha!“ i pobiegło objiać się o sosny i podkury, najeżone kolcami drewnianymi. Szli wciąż naprzód, coraz bliżej legowiska, ciągle wołając „tiu ha!“ i wywijając drągami przed sobą. W myśliwych dech zamarł na chwilę. Nasłuchiwali, rychło-li szelest uszu ich doleci od łohła, a ręce kurczowo zaciskały się wokoło szyjek kolb. Młoda dziedziczka wysiadła z sanek i wyprostowana patrzyła w otęp, ciekawa i niespokojna o męża. Mąż zaś smukły, w bekieszce zielonej, z wąsem lnianym pod nosem i w czapeczce bobrowej, trzymał w pogotowiu swą dwtylcówkę, ładnie oprawną.

Jeszcze raz ozwało się przeciągłe „tiu ha!“ i z legowiska łomot doleciał. Zwierz się ocknął... Psiarz spuścił ogary ze smyczy, a zaraz potem gędźba psia uderzała o sosny szumiące. Kilkadziesiąt palców drżących spoczęło na cynglach i gniotło je bezmyślnie. Ogary wciąż zanosiły się lamentem, skomląc wniebogłosy „tiah tiah!“ a przed nimi, poprzez polankę śnieżną, sadziły niedźwiedzie. Przodem szła macierz, wiodąc za sobą dwóch roczniaków. Stąpała wolno, pewna siły swych mięśni, potrząsała kudłami burymi i niosła przed sobą głowę o czole szerokiemi pysku wązkim, klinowatym. Pysk ten znał się z barcią i ulem, a nozdrza z żądłem złośliwej i skrzętnej pszczoły. Szczęknęły na stanowiskach myśliwskich kurki odwodzone. Służalcza czereda psów naszczekiwała wciąż, cofając się za lada żywszem poruszeniem zwierza. Omylił się Michał Zdor, stawiając dziedzica pod złomkiem dębu, jako na pewnem miejscu; niedźwiedzica przeszła na sto kroków od niego, zmieniła kierunek biegu i podążyła w inną stronę. Minęła strzelców z odtylcówkami, a poszła na tych, co mieli pistonówki. Odważniejsi przypuścili ją na bliższą metę. Padł jeden strzał dobrze wycelowany i drasnął niedźwiedzicę w okolicach bioder. Ryknęła wściekle, słupem stając. Sadziła na oficyalistów, farbując śnieg, a gdy oglądała się niespokojnie za dziećmi, padł drugi strzał z tejże ręki, godząc śmiertelnie w jednego rozniaka. Powtórny ryk, ale tym razem—boleści macierzyńskiej. Mrowie zgrozy przejęło myśliwych. Lunął grad strzałów gorączkowych, odległych, danych pod wpływem roznamiętnienia łowieckiego lub strachu. Prawie każdy był pudłem. Drugie niedźwiedziątko, ogłuszone hukiem, odbiło się od matki i zmykało samotnie. Natrafiło na innych myśliwych, tam, śladem brata, zginęło z ręki czynszownika, odebrawszy wprzód kilka niewinnych postrzałów.

Cała knieja drżała, wstrząsana skomleniem ogarów i pukaniną strzelców; zdawało się, jakoby gdzieś w głębi puszczy drugie robiono łowy, bo i tam psy grały i strzelanie słychać było. Tymczasem niedźwiedzica, raniona i pomna straty swych piskląt, dyszała gniewem. Oczyma nabiegłemi krwią miotała groźne błyski. Psy zziajane i spienione, nieprzytomne od zaciętości, głosami ochrypłymi nieustanie dzwoniły jej „tiah tiah!“ A ona skołatana boleścią i roznamiętniona do szaleństwa, kłapała swymi białymi, połyskliwymi zębami. Gdy który ogar zuchwalszy odważył się zbliżyć na odległość łapy jej lub susa, musiał w kątuszy strasznej konać. Hałas, ulubieniec dziedzica, taką właśnie śmiałością się uniósł i zginął marnie. Zwierz rozjuszony zrobił pół obrotu i wyciął go łapą w zad. Inne psy cofnęły się, drżąc, a Hałas, padając grzbietem, zaskowyczał z bólu żałośnie. Wystawił na łup swój brzuch czczy, wpadnięty i łapy trzęsące się, bezbronne... Pokorny był wobec przemocy. Niedźwiedzica spuściła mu jeszcze raz łapę na lewy bok i wyrwała kilka kości. Zaskomlił biedak okropnie i wił się w śmiertelnych podrzutach, wtłoczony w śnieg. Huknęła czyjaś strzelba, kula koło gęby bzyknęła i jęki psa umilkły... Niedźwiedzica sunęła dalej, a czereda ogarów ośmielonych — za nią, ze swem tubalnem i rytmicznem „tiah tiah!“

n iepowodzenia zamysłów restauracyjnych, c owają się widome znaki i godła, stronnictwa zaś, które pod tem przykryciem wialczyły, stają wprost na gruncie konserwatywnym, inaczej — liberalno-mieszczańskim. Obalenie rządu republikańskiego odłożono na czasy dalsze; teraz idzie przedewszystkiem o obronę interesów klasowych, zagrożonych przez podnoszący coraz wyżej głowę radykalizm socyalistyczny. Póki była nadzieja rychłego odbudowania monarchii, w tym wyłącznie kierunku zwracały się usiłowania opozycyi konserwatywnej — dziś jednak, gdy pretendenci na wygnaniu, nieprzyjaciel zaś idzie coraz raźniej do szturmu, nie czas bronić zasad, trzeba przedewszystkiem ratować kieszenie.

W wyborach 4 października 1885 r. zmierzyć się miały siły stronnictw pojedynczych, przedewszystkiem zaś republikanów i monarchistów. Ci ostatni, dla zapewnienia sobie zwycięztwa, wystąpili z projektem „koalicyi konserwatywnej,“ której pierwsi chcieli przeciwstawić Unię republikańską. Koalicya konserwatywna dokonaną została pod patronatem Orleanów i na ich głównie korzyść. Przystąpili do niej i bonapartyści. Niektórzy z nich ze swym krzykaczem Pawłem Cassagnac'em na czele, głosili otwarcie utworzenie wielkiego stronnictwa likwidacyi Rzeczypospolitej i przybrali nawet nazwę „solucyonistów.“ Wybory zapewniły niespodziewane zwycięztwo „koalicyi konserwatywnej,“ dały jej bowiem 200 głosów, co w porównaniu z poprzedniemi 80 było znacznym krokiem naprzód, w Izbie zaś, liczącej 580 posłów, tworzyło opozycyę poważną.

Po tem względnem, a jak się okazało, Pyrrusowem zwycięztwie, dzienniki monarchiczne otrąbiły przedwcześnie upadek Rzeczypospolitej i otwarcie zaczęły rozwijać swe zamiary najskrytsze. Hr. Paryża wystąpił jawniej w charakterze pretendenta, spraszając ciało dyplomatyczne na swe ceremonialne przyjęcia itp. Otworzyło to oczy republikanom i pobudziło ich do obrony. Radzie ministrów przedstawiono tajne plany sprzysiężenia, w Izbie posypały się wnioski i interpelacye, skutkiem których było wydalenie pretendentów z Francyi, zarówno orleańskich, jak bonapartystowskich. Wygnany został hr. Paryża; w ślad za nim podążył ks. d'Aumale. Ks. Hieronim i syn jego Wiktor zmuszeni byli również szukać przytułku za granicą. Wydalenie to spadło jak grom, nie spodziewali się bowiem takiej surowości w wilię swego rzekomego tryumfu. Republikanie, prócz pozbycia się pretendentów, chcieli jednocześnie ich zdemaskować. Orleanie bowiem zręcznie przykrywali się pozorami spokojnych obywateli, co powodowało liberalnych i tolerancyjnych republikanów do stanowczego występowania przeciwko banicyi. Obecnie maska spaść musiała.

Banicya ta przeszła bez szczególnego wrażenia i nie wywołała w kraju żadnych zamieszek. Chwalono pełną spokoju godność, z jaką hr. Paryża udawał się na tułaczkę, dodawano atoli jednocześnie, że „rezygnacya robi świętych — nie królów.“ Okazało się zresztą niebawem, że przypisywanie zwycięstwa „koalicyi konserwatywnej“ przy wyborach przywiązaniu do domu Orleanów, było złudzeniem. Owych 200 posłów wybrano przedewszystkiem jako „konserwatystów,“ tj. przeciwników zwrotu radykalnego, jaki się przejawił w rządzie republikańskim. Dostrzeżono, że „Rzeczpospolita stacza się po radykalnej pochyłości“ i starano się stworzyć jej przeciwwagę zachowawczą. O Orleanów chodziło tu najmniej, lubo wpływy ich i organizacya wyborcza pomogły do częściowego zwycięztwa.

Rozmyślania na ten temat prowadzą dziś do powolnego przeobrażania opozycyi monarchicznej na „republikańską prawicę konserwatywną,“ która postawi sobie przedewszystkiem za zadanie powstrzymać Rzeczpospolitę na owej radykalnej pochyłości i zagrożone interesy zachowawczo-mieszczańskie ubezpieczyć. Z projektem „prawicy republikańskiej“ wystąpił otwarcie w Izbie jeden z wybitnych posłów monarchicznych, Raul Duval i myśl ta jedna sobie coraz szersze koło zwolenników. Program Duvala streścić się da w punktach następujących: walka z socyalizmem, zachowanie stanu dotychczasowego w sprawach kościelnych, zupełna swoboda nauczania (dla szkół klerykalnych), zachowanie reformy finansowej i odrzucenie zamierzonego podatku od dochodów, ograniczenie wolności zmów, uwolnienie seminarzystów od służby wojskowej i nieprześladowanie pretendentów. Program ten, prócz ostatniego punktu, który jest jedynie aktem grzeczności wobec książąt wydalonych, nosi wybitne piętno zachowawczo-mieszczańskie i niewątpliwie zgromadzić może wokoło siebie znaczne stronnictwo, skoro jego wyznawcy pozbędą się złudzeń i przestaną być na swój sposób rewolucyonistami. Dla ułatwienia im tej zamiany, organizuje się na nowo „lewy środek,“ który już był zaniknął prawie zupełnie. Oportuniści, również wysadzeni z siodła przez „radykałów rządowych,“ są gotowi dopomódz byłym monarchistom do przeobrażenia się w republikanów konserwatywnych, jeżeli tylko zdołają przy tym ogniu i własną upiec pieczeń.

W ten sposób, jak widzimy, stronnictwa zaczynają się grupować we Francwi według naturalnego porządku rzeczy. Konserwatyści i rewolucyoniści—oto dwa obozy, wskazane przez samą naturę wewnętrznego położenia kraju. Prorokować nie myślimy, jak daleko zajdzie ta przemiana i o ile republikanie konserwatywni okażą się zdolnymi do walki. Zaznaczyć nam jednak wypada jeszcze, dla uzupełnienia obrazu, że i w łonie francuskiego katolicyzmu, a raczej klerykalizmu odbywa się także przemiana w kierunku zgody z republikańską formą rządu. Henryk des Houx, dziennikarz, wydalony z Rzymu przez papieża za skrajne swe przekonania klerykalne, nielicujące z umiarkowanym nastrojem Leona XIII, prowadzi obecnie namiętną kampanię za pogodzeniem katolicyzmu z Rzecząpospolitą i pragnie go oderwać od przymierza z przegraną sprawą Orleanów, których zresztą przywiązanie do kościoła uchodziło zawsze w gronie prawowiernych za podejrzane.

Moglibyśmy na tem zakończyć, dla przedstawienia jednak nadziei, jakie konserwatywni republikanie najnowszego proroju łączą ze zmianą dokonywającą się obecnie, pozwolimy sobie przytoczyć ustęp z artykułu, pisanego przez jednego z publicystów tego kierunku *). Chodzi o to, żeby naprawić zachwiany dziś mocno bu-

*) *La Nouvelle Revue*, 1 novembre, 1886.

Na gości poszła. Ci nacisnęli cyngle, świsnęły kule, lecz żadna z nich nie była szkodliwą...

Niedźwiedzica skierowała się na pień dębu, gdzie stał dziedzic ze strzelbą przypartą do policzka. Sadziła wprost na niego, a żona, patrząc na to z pod drzew, wydała mimowiedne „ach!“ On zaś przypuścił zwierza na kroków czterdzieści i strzelił z lankastrówki. Zawisły w powietrzu dwa kłęby dymu sinawego, z dwóch luf. Jedna kula pomknęła górą kędyś, a druga poszła dołem i uwięzła w udzie niedźwiedzicy. Wydała potężny ryk boleści! Drugiego psa rozszarpała i brocząc krwią, wściekła, popędziła w stronę legowiska. Jeśli dopadnie człowieka, będzie nieszczęście!

Za łohłem rozległo się: „pilnuj!“ a potem przeciągłe „tiu ha!“ naganiaczy. Wymachiwali drągami i kołami, krzycząc bezustanku. Niedźwiedzica sadziła na biel, siejąc postrach. Któryś z huczków słabszego ducha rozniecił popłoch, zawoławszy: „kości połamie!“ Cisnął na ziemię drąg i zemknął z ostępu. Za przykładem jednego poszli i inni. Krzyczeli do siebie: „Rzucajmy drągi i głową w śnieg, póki żywi!“

Łeb niedźwiedzicy tuż, tuż, a szeregi naganiaczy rzedły. Porzucali koły i drągi, a sami uciekli z ostępu. Rozproszywszy się po lesie, jedni poprzypadali twarzą do śniegu i pochowali w nim swe głowy, inni wdrapywali się na drzewa. Niewielu odważnych zostało na stanowisku. Między nimi był Jenkiej, ów wyrostek siedmnastoletni, co stał pod sosenką wiotką, i o trzydzieści kilka kroków od niego Michał Zdor. „Albo przyjdzie potańcować z nią, albo ją kołem ostrym przewiercić“ — myślał Jenkiej. I ujął mocniej kół swój, aserce trochę zadrżało. „Trzeba się mieć na baczności“ — miarkował sobie Zdor, spozierając to na swą strzelbinę mizerną o lufie przytwierdzonej łyczkiem do końca osady, to macając nóż w torbie borsuczej.

Gdy niedźwiedzica zbliżyła się do wyrostka na kroków kilkanaście, a on ujrzał jej poruszenia namiętne, oczy zaszłe krwią, łapy grube i silne, posłyszał mruczenie groźne, strach go zdjął. Ręce i łydki drżały, czuł, że bezwładnieją. Wszystkie opowiadania starszych o okrutności tego zwierza lotem błyskawicy przemknęły mu w pamięci. Niema rady, nogi za pas!... Już nie wie, kiedy mu kół wypadł z rąk i rękawice włóczkowe, widział tylko śmierć niechybną przed sobą. Zdawało mu się, że drzewa, pobrawszy się za konary, zawodziły korowód dokoła, a krwawe, roztargane zwłoki psów, później jego własne, walały się na śniegu.

— Bracia sokoły! — krzyknął rozpaczliwie — ratujcie, kto w Boga wierzy!...

Podkaszające się nogi ledwie go doniosły do sosenki. Objął ją omdlewającemi rękami, przytulił piersi swe do jej kory gładkiej i ścikając kolanami pień smukły, z tchem zapartym, z sercem zamierającem, wdrapywał się w górę, a biała tajstra zawadzała mu o suche sęki. I czuł się, jakoby był we śnie ścigany przez zmorę, jakoby usiłował uciec przed nią i nie mógł, bo i drzwi się opierały i nogi pod nim gięły. Ledwo w gałęzie się wplątał, gdy u dołu niedźwiedzica ryknęła złowrogo. Męczarnie swe wiekami mierzył, a stało się to wszystko w oka mgnieniu. Zdawało się, że niedźwiedzica będzie ścigać człowieka aż na drzewo, ale nie! Dopadłszy sosenki, stanęła na tylnych łapach, a przedniemi ujęła pień jej. Szarpała korę pazurami i mieszała pianę wścieklizny swej z żywicą. Targnęła drzewkiem raz, potem drugi. Za trzecim razem poddało się. Miało sześć cali w średnicy, a gięło się w łapach zwierza posłuszniej od trzciny. Wstrząśnienie było tak silne, że człowiek spadł z drzewa, jak owoc dojrzały. Wtedy niedźwiedzica puściła sosenkę, a sama skoczyła nań. Zrazu widział nad sobą jej brzuch dyszący, czuł dotknięcie kudłów, lecz gdy pazury zaczęły się wpijać w ciało, stracił przytomność. Stęknął kilka razy beznadziejnie.

Z jego jękiem zmieszał się okrzyk zgrozy patrzących. Każdy śpieszył w stronę legowiska, strwożony o kogoś bliskiego sobie: ojciec o syna, brat o brata.

— Drze, jak Boga kocham, drze! — wołali naganiacze, a potem wybuchali przeciągłem „tiu ha!“

Zwierz zaś rozparł się nogą przednią swą i, mrucząc groźnie, miętosił żywe ciało.

dynek konstytucyjny z r. 1875. „Budynek wzniesiony w r. 1875, czytamy tu, wspólnemi siłami monarchistów i republikanów lewego środka jest, bądź co bądź, konstytucyą monarchiczną. Świadczą o tem wyraźnie dotychczasowe usiłowania ku obaleniu lub przeobrażeniu tego dzieła. Król winien był ukoronować ten budynek. Długie lata oczekiwano nań napróżno, tak, że wkońcu przestano wierzyć w to ukoronowanie. Dzieło zostało nieskończonem. Czyż możemy dziś pozwolić, ażeby tyle usiłowań przeszło bezowocnie; czyż możemy się łudzić, że koronę odnajdziemy w gruzach Rzeczypospolitej?.. Ci, którzy będą dość roztropni, ażeby namiętności swe poświęcić dla potrzeb kraju, zbiorą w przyszłości słodkie owoce swego zaparcia się i swych trudów. Dzieło 1875 r. może być spokojnie doprowadzone do bezpiecznej przystani. Kraj powoła wówczas legalnie na tron Francyi swego króla, coby już prawdopodobnie stałoby się było dotychczas, gdyby nie fatalna nieroztropność, popełniona w dniu 16 maja...“

E. Przew.

BADANIA NAUKOWE.

NEO-HISTORYZM
w ekonomii politycznej.

II.

Jeden z mistrzów w tej nauce, który umiał najmisterniej łączyć ustawicznie rzeczywistość z abstrakcyą, przeplatać faktami codziennego doświadczenia prawdy rozumowo wywiedzione, przeczuwał ów rozłam, który niebawem miał nastąpić, kiedy w swej książce „o zasadach ekonomii politycznej“ powiada: „Jeżeli ekonomii będziemy podsuwali za przedmiot badanie warunków fizycznych, wśród których wytwór dóbr ekon. się odbywa, oraz rozbiór własności tych materyałów i pierwiastków świata fizycznego, z których dobra owe powstają i wytwarzają się, wówczas badanie tego porządku objawów snadno należeć będzie do dziedziny nauk przyrodniczych. Jeżeli zaś będziemy w niej upatrywali tylko skutek licznych przyczyn moralnych i psychologicznych, wynikających z wzajemnego oddziaływania instytucyj społecznych na człowieka i człowieka z jego właściwościami na instytucye społeczne, natenczas badanie stanu ekonomicznego narodów uważać musimy nie za gałęź umiejętności przyrodzonych, lecz za przedmiot osobnej i wprost odrębnej nauki. Nauka ta nie analizuje zewnętrznych warunków produkcyi dóbr, przyjmuje je bowiem jako istniejące, powierzając śledzenie ich umiejętnościom przyrodniczym *). Sama zaś nauka, porównywając fakty, jakie nam przyroda zewnętrzna przedstawia, z potrzebami i dążnościami do ich zaspokojenia w człowieku, bada skutki, wypływające z wzajemnego ich na siebie oddziaływania. Wejrzawszy tym sposobem w zakryte pobudki, będące istotną treścią dóbr ekonomicznych, wprowadza zapomocą owego porównania ogólne prawa, czyli zasady, na których pierwsza część gospodarstwa społecznego, mająca za przedmiot wytwór dóbr, opierać się winna.

Tak wywiedzione prawa mają znaczenie ogólne, do wszystkich czasów i miejsc się odnoszące, a nauka o nich nosić na sobie będzie znamię prawdy bezwzględnej.

W drugiej części gospodarstwa społecznego bada nauka, w jaki sposób dobra ekonomiczne, wytworzone na podstawie praw owych, rozdzielają się między jednostki w narodzie.

Gdy zaś sposób rozdziału zależny jest wyłącznie od instytucyj społecznych, od ustaw i zwyczajów, obowiązujących w każdym kraju, przeto w tym kierunku żadnych praw ogólnych wywieść nie można, a badanie rozdziału bogactwa nie może stanowić przedmiotu ogólnej części ekonomii politycznej. Prawdy uzyskane w tej części bowiem mogą mieć znaczenie tylko ograniczone: dla pewnego kraju i dla pewnego czasu. Badanie przeto rozdziału dóbr ekonomicznych i jego skutków nie może być przedmiotem umiejętności. Co najwyżej, może ona określić warunki, od których zależy oddziaływanie instytucyj społecznych na podział dóbr, oraz wywieść sposób, w jaki ten podział będzie się odbywał przy tych lub owych instytucyach prawodawczych“ *).

Ten rozdział kierunku badania, postawiony przez J. St. Milla, jest niezawodnie do pewnego stopnia usprawiedliwiony; klasyczna *umiejętność* wcale nie pretendowała do rozwiązywania za pomocą swych „czystych abstrakcyj“ zagadnień społecznych, pozostawiając *sztuce* wciągnięcie metody indukcyjnej do pozytywnego zaspokojenia „kwestyi społecznej“ i tych wszystkich zagadnień społeczno-politycznych.

Było w tem echo owego scholastycznego sporu o *art* i *science*, wiedzionego od dawna w ekonomii. Dalecy od tego, przyznajemy niemniej, że należałoby uczynić odróżnienie zasad ścisłej teoryi od praktyki czyli zastosowania — aplikacyi, jak się wyrażano — „aby nauce dać więcej powagi i jasności, a sztuce — czyli praktycznemu zastosowaniu — więcej pewności w swoim pochodzie.“ A gdybyśmy zrobili tę różnicę w teoryi ekonomii, która nie ma ani niczego zmienić ze stosunków istniejących, ani żadnych społeczno-politycznych zasad stawiać, należałoby posługiwać się metodą dedukcyjną; w praktyce zaś do wyjaśnienia historycznego stanowiska, w pracach opisanych, przysparzających niejako materyału dla ogólnej teoryi, winna być uznaną metoda indukcyjna, jako pomocniczy i najsposobniejszy środek do przemyślenia i rozwiązania wielkich zagadnień społeczno-ekonomicznych.

Przytem należy dodać, że w tem ogólnem nazwaniu metod „indukcyjną lub dedukcyjną,“ leżą pewne odcienie, które nie zawsze można było rozróżniać. Nigdy ża-

*) Np. dla bimetalisty sprawą najważniejszą jest „przyszłość złota.“ O tem atoli może mu dać wyjaśnienie *tylko* geolog. Z wyników tej pracy geologa wywodzi potem bimetalista podniesienie ceny złota i obniżkę dowozów. Że jedna przyczyna nastąpi — wierzy on geologowi; że jako jej skutek pewne objawy ekonomiczne zajdą i zajść muszą, jeżeli inne istotne przyczyny nie będą przeciwdziałały — wierzy ekonomii polit. abstrakcyjnej. *Jahrb f. N. O.* tom. 42, str. 107 — 134. Dietzel. C. Menger: *Untersuchungen über die Methode der Soc. W.*

*) John Stuart Mill: *Zasady ekon. polit.*, tłomaczyli R. P. i B., Petersburg, 1859, tom I, str. 53.

Tymczasem Michał Zdor złożył się ze swej dwururki, łyczkiem związanej, wymierzył i dmuchnął w samo ucho niedźwiedzicy. Zachwiała się, a potem runęła na bezwładne ciało człowieka. Zanim upadła, Zdor dostrzegł, jak na pożegnanie „uszczypnęła“ jeszcze raz swą ofiarę.

Zalęknionym odwaga wróciła. Psy, co na widok człowieka obracanego w łapach zwierza cofnęły się i, sprawy sobie zdać nie mogąc z tego obrazu smutnego, skomlały nieśmiało, teraz poskoczyły ochoczo i targały radośnie kudły bure, nie zrażając się podrygami konania. Naganiacze małego ducha i myśliwi, skorzy do przysparzania sobie sławy kosztem cudzej celności, cisnęli się do zwłok ugodzonej nareszcie niedźwiedzicy. Gdyby nie to, że pod niemi spoczywał człowiek, a może trup tylko jego, jużby szukali śladów ran, zadanych przez siebie, przyznając się do cudzych kul.

Podjęto zwierza. Wtłoczony twarzą w śnieg, leżał wyrostek bez czucia. Tyle miał przytomności jeszcze, że pomny przestrogi starych myśliwych, plecy wystawił na łup niedźwiedzicy. Krew płynęła mu zgłowy, boku i ud. Gdy młody doktor nadworny dziedzica obejrzał go, okazało się, że tył głowy prawie całkiem odarty był ze skóry, w boku zaś prawym brakowało żebra jednego, a uda przypominały mięso wyżyłowane przez kucharza. Rany były groźne.

Chłopi potrząsali głowami znacząco, zerkając z podełba. Oskarżali w duchu myśliwych o te straszne cięgi chłopięcia krwi swojej. Gdyby się nanich spuszczono, inaczejby sobie z niedźwiedziami postąpili. Starsi tylko wystrzelaliby je z zasadzki, przyczaiwszy się na podkurach. Żaden młokos nie śmiałby bydła odejść. Jednakże widząc przed sobą maruchę nieżywą, darować jej nie mogli psot wyrządzanych za życia. Znęcali się nad zwłokami.

— Oto ci za ul mój! — przemawiał jeden, uderzając drągiem po pysku. Zmarnował mu niedźwiedź „pszczoły jedne“ łońskiego roku, gdy z wysokości kilkudziesięciu sążni zwalił ul z drzewa. Miód wraz z pszczołami wyżarł.

— A to ci za moją barć! — gadał drugi, kopnąwszy w udo. Barć była stara, zasłużona. Wydała młodych rojów bez liku, a miód z niej był najsmaczniejszy, troskliwie przez żydów poszukiwany.

— A to ci za straszenie dziewcząt w malinach! — tłomaczył się trzeci, z uderzenia kolbą w brzuch. Byłto ojciec, którego córka latem dostała gorączki niebezpiecznej, wróciwszy z malin. Spotkała się tam z niedźwiedziem. Siedział sobie przykucnięty na tylnych łapach, a przedniemi jagody słodkie „oszmorkiwał“ z krzaków i ładował w pysk wraz z liśćmi. Nie udawało się mu, widać, kolce musiały mu doskwierać, więc mruczał. Szelest dziewczyny spłoszył go, a łomot jego ucieczki przeraził ją.

Każdy miał coś do pomszczenia.

A niedźwiedzica leżała sobie ciepła jeszcze, lecz bez ducha, obok zaś sztywniały od mrozu zniesione zwłoki dzieci jej. Na saniach nieruchomo, twarzą do nieba, spoczywało ciało Jenkieja, poranione i owładnięte gorączką. Na zapytanie dziedziczki, czyby życiu chłopa groziło „podrapanie,“ doktor odrzekł poważnie: tak. Niedźwiedzica drgnęła, raz jeszcze wargi czarne i spienione skurczyły się i wyjrzały z pod nich zęby. Uśmiech złośliwy zamarł na jej stygnącym pysku.

Za chwilę sunęły sanie po tornej drodze, gęsto natłoczone ludźmi, poskrzypując hołoblami, które się tarły o „łuże“ i chomąt i o „kopyły.“ Dzwonki szalały u „duh,“ a fale srebrzystych ich dźwięków roztrącały się o drzewa, zamierając niekiedy na chwilę. Po strzałach, nawoływaniach ludzkich i skomleniu psów cisza nastała w „krasnym rohu.“ Pozostała polanka zdeptana przez obławników i zwierza, na niej „buda“ niedźwiedziowa i dwa roztargane trupy ogarów. Na sośnie zaś szemrzącej siedziały dwie wrony zapatrzone w ścierwo, psie i dzięcioł zbiedzony skakał po korze, oblanej promieniami słońca, uciekającego za bór.

Z. Pietkiewicz (Komar).

KONIEC.

dna nauka nie może się posługiwać wyłącznie jedną z nich. Żadna bowiem z nich nie obywa się bez drugiej, lecz każda polega na odrębnem, formalnem ujęciu pewnych objawów. Dedukcya znajduje punkt wyjścia w pewnych ogólnych objawach lub przypuszczeniach — indukcya zaś, wychodząc z doświadczenia, szuka praw ogólnych. Przytem każda z nich w każdej nauce, zachowuje swój odrębny charakter. I tak metoda indukcyjna polega w naukach przyrodniczych przedewszystkiem na doświadczeniu, dlatego nazywa się poprostu „metodą doświadczalną“; w umiejętnościach moralno-politycznych zaś polega indukcya na opisie historycznych i statystycznych faktów i dla tego można ją utożsamić z t. z. „kierunkiem historycznym.“

Dedukcya zaś posługuje się formą spekulatywną lub matematyczną.

Od zarania spekulacyi metafizycznej walczą z sobą te dwa kierunki. Dwa razy w ciągu wieków przeznaczonem było anglikom ocalić umysł ludzki od zjałowienia: w XVII w. reakcyą przeciw syllogizmowi, rozpoczętą przez Bacona — od scholastyki; społecznemi zaś pracami Herschla, obu Millów, Spencera, Lewesa i Baina — od idealizmu niemieckiego.

Lecz wreszcie przyszedł czas, kiedy duchowi niemieckiemu danem było wyzwolić naukę angielską od absolutów jej teoryi ekonomicznej.

Z niemieckiej ziemi wionął ów duch realistyczny, który zapłodnił ekonomię nowemi ideami.

Naród idealistów, który do niedawna sprowadzał surowiec nauki ekonomii politycznej żywcem z Anglii, począł teraz wywozić w przerobionej formie, duchowy rezultat swych prac po całym lądzie stałym i Anglii.

George Campbell, prezydent sekcyi dla ekonomii i statystyki, wyrzekł na kongresie w Glasgowie w swoim Inaugural-adress:

„Był czas, kiedy zdawało się, że ekonomia jest nauką przyrodniczą i tak ścisłą, że można przyjść w niej do wyników zupełnie pewnych za pomocą rozumowania dedukcyjnego. Lecz później przekonano się, że człowiek nie postępuje w sposób niezmienny według tych praw, które nazwano ekonomicznemi prawami natury, że owszem czynności ekonomiczne ulegają względności przyczyn moralnych, których skutków nie można naprzód obliczyć z całą ścisłością. Nie możemy przeto z zaufaniem polegać na łańcuchu rozumowo z pewnych przesłanek wywiedzionych wniosków. Przeciwnie, za pomocą obserwacyi faktów, a więc za pośrednictwem indukcyi, można i należy każdy wywód upewniać i sprawdzać“ *).

Niemcy, którzy tak późno pracować zaczęli samodzielnie w kuźnicy ekonomicznej, od samego początku swego współuczestnictwa w badaniach odznaczali się pewną niewiarą w powszechność t. z. ekonomicznych praw natury i w zbawienność abstrakcyjnej teoryi angielskiej. Chociaż przez długi czas zostawali za pośrednictwem liberalnych wolnohandlowców i popularyzatorów angielskiej teoryi pod wpływem jej nauk, zawsze jednak marzyli oni o ekonomii narodowej — wyłącznie niemieckiej. Ten patryotyzm w dziedzinie nauki, tkwił nietylko na dnie wszystkich starań polityki „Zollverein'u,“ lecz najpełniejszy swój wyraz znalazł w t. z. kierunku historycznym.

Rzucono hasła. „Praca narodowa“ wniosła ferment w sam środek interesów praktycznego życia. Hasła te zaczęły zapalać umysły. „Praca narodowa“ i „utworzenie niemieckiego związku cłowego“ wywołały ruch, objawiający się powszechnem dążeniem do utworzenia jednolitego państwa niemieckiego. Pod tym wpływem powstał kierunek historyczny, ujawniający się w pracach Lista, Roschera, Kniesa i wielu innych.

Z chwilą zaś osiągnięcia tego ideału narodowego, objawił się ten sam kierunek naukowy w innej formie.

Z narodu biedaków, filistrów. uznających pieniądz jako „złe konieczne,“ z tłumu hyperidealistów powstał nagle naród potężny i zjednoczony. Teraz nie szło już o zdobycie bytu państwowego, lecz o zachowanie go od wewnętrznych walk i dążeń przeciwnych „idei państwowej.“

Odkąd socyalizm podniósł w Niemczech odważniej niż gdzieindziej sztandar i znalazł pełniejsze niż gdzieindziej uznanie — zaczął kierunek historyczny zwolna przybierać inną formę.

Uczeni, na których słowa Lassala i Marxa nie pozostały bez wpływu, głosili teorye wcale niedaleko w zasadzie odchylające się od prawowiernych nauk powag socyalistycznych.

Zdobyta równość prawna i polityczna — mówiono — jest wcale wątpliwej wartości nabytkiem, bez osiągnięcia dalszej konsekwencyi zasady równości, tj. bez osiągnięcia równości położenia ekonomicznego. Tego wniosku zaś nie chciała wyciągnąć ani filozofia prawna, ani polityka, ani liberalna ekonomia polityczna. Wyciągnęła go z całą ścisłością teorya socyalistyczna. Stąd w poczuciu tej żywości, głoszonej, a niedopełnionej, walka przeciw historycznie ułożonym stosunkom własności, przeciw kapitalizmowi, przeciw obowiązującemu prawu, zwłaszcza spadkowemu — stąd rozogniająca się „kwestya społeczna.“

W narodzie rozwiniętym obudziła się świadomość tej sprzeczności między zasadą, przyświecającą idealnie politycznemu życiu — a rzeczywistością. Teorya socyalistyczna była tylko dalszem rozwinięciem na gruncie ekonomicznym zasad liberalnych: wolności i równości.

Przeciw tym doktrynom socyalistycznym, uderzającym taranem o podwaliny — z taką troskliwością wzniesionego, gmachu państwowego, zaczęto w dziwnie ryzykowny sposób wieść walkę. Przybrano ich własną broń i wojując nią, starano się zażegnać tym sposobem burzę socyalistyczną.

Podniesiono ich własny sztandar, usuwając równocześnie grunt, na którym agitacye socyalistyczne rozrosnąć by się mogły.

Propagandę agitatorów praktycznych wciągnięto do rozpraw akademickich. Sądzono, że tym sposobem zadano socyalizmowi cios stanowczy.

W tych warunkach narodził się *kierunek realistyczno-etyczny ekonomii*. Latami dokładnie oznaczyć niepodobna, kiedy rozpoczynają się w Niemczech nieograniczone rządy tego kierunku. Rozwój jego atoli idzie w ślad za ożywieniem narodowej dumy po tryumfach „walki o niepodległość.“ Była to bowiem widocznie narodowa i państwowa potrzeba owego czasu. Dopiero po r. 1870 datuje się tryumfalny pochód. Zwycięzka wojne francuska i utworzenie jednolitego cesarstwa, nadały od razu inny zwrot kierunkowi, który niedawno jeszcze pod imieniem „historycznego“ wprzęgano do pracy około odrodzenia narodowego.

Na czele młodych Niemiec Bismark niósł pełne ręce reform społecznych. Wdzięk samowładztwa i hołdownicza uległość niemieckiego mieszczaństwa, ułatwiły urzeczywistnienie tych zachcianek „uszczęśliwiania narodu“ — z łaski kanclerza niemieckiego.

Do „fabrykowania“ tej społecznej reformy potrzeba było naukowego „aparatu.“ I oto za przyczynieniem się przewódców realistyczno-etycznej szkoły w Berlinie, przystąpiono do rozwiązywania zagadki Sfinxa społecznego. To polityczne znamię wycisnęło swe nieodrodne piętno na wszystkich pracach, od tej szkoły pochodzących.

(D. c. n.).

Dr W. Lewicki.

*) W numerze listopadowym z r. 1876 *Fortnightly Review* znajduje się wykład Stanley Jevonsa, otwierający lekcye w University College w Londynie; przetłomaczono go w *Jour. des Econ.*, t. 45, zeszyt marcowy z r. 1877, skąd cytuję wyjątek z Campbella

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

Drezno, listopad, 1886.

Lipperta *Dzieje kultury*. — Jan Scherr umarł. — Powódź muzyczna. — Kochańska. — Bülow wygwizdany. — *Halka* w Pradze.

I.

Imię Lipperta znane jest czytelnikom *Prawdy*. Pisałem dawniej o jego „Christenthum,“ a o „Dziejach kapłaństwa“ zamieszczono tu obszerne sprawozdanie. Pracowity ten badacz historyi cywilizacyi świeżo głosił tom pierwszy dzieła: *Kulturgeschichte der Menschheit in ihrem organischen Aufbau* (Sztutgard, 1886, przeszło 600 str. w wielkiej 8-ce). Zdaje mi się, iż będzie to praca znakomita, pierwszorzędnej wartości. Znany specyalista na temże polu, Hellwald, ze skromnością godną wszelkiego uznania, oświadcza, że dzieło to Lipperta przewyższa zaletami wszystko, co w tym zakresie dotąd napisano, a więc i jego, Hellwalda *Dzieje cywilizacyi*, które się doczekały trzeciego już wydania.

Nie podaję tu szczegółowego przeglądu tomu pierwszego Lipperta, bo właściwszym on będzie po ukończeniu drugiego, który ma być ostatnim; w kilku słowach skreślę tylko główne jego poglądy.

Tonem zasadniczym dzieła jest ścisły empiryzm i wielka trzeźwość zapatrywania. Każde uogólnienie Lippert wyprowadza z mnóstwa faktów, zaczerpniętych z dobrych źródeł etnograficznych. Uprzedzeń nie ma żadnych, ani idealistycznych, ani materyalistycznych. Filozoficznym gruntem jego jest pozytywizm Spencerowski; dużo też faktów czerpie z wielkiego dzieła etnograficznego, wydanego pod kierunkiem Spencera, a zbyt mało na kontynencie znanego i cenionego (mówię tu o kilkotomowej *Descriptive Sociology*). Zgadza się też ze Spencerowskiem wywodzeniem bogów z duchów przodków, odnosząc tu oczywiście i wiarę w nieśmiertelność duszy.

Sumienie, zdaniem Lipperta, jest wytworem dziejowym i przedstawia w każdej dobie historycznej resztę, pozostającą po odjęciu sumy altruizmu od sumy egoizmu; staje się ono powoli drugim, wtórnym (sekundarnym) instynktem w człowieku i może z czasem przedstawiać będzie całkowity altruizm, gdy instynkt pierwotny, egoizm, sprowadzi się do zera. Świetne to sformułowanie rzeczy po raz pierwszy, ile wiem, wypowiedzianem jest tak śmiało i przekonywająco. Widzi stąd czytelnik, iż Lippert jest optymistą i wierzy, jak Spencer, w przyszły tryumf lepszych pobudek człowieczych.

Nie *walka o byt* jest główną sprężyną rozwoju ludzkiego, ale *troska o utrzymanie się*; na pozór wychodzi to na jedno; ale w wykładzie Lipperta pojęcia to odcieniowane są nieco inaczej: walka o byt cechuje wszystkie jestestwa żyjące; człowiek zaś wyróżnia się od nich tem, iż po odbyciu walki o byt i po ustaleniu i wyodrębnieniu swojego gatunku, poszedł naprzód, pchany nową, jemu jednemu tylko właściwą zabiegliwością o jutro, że tak powiem, czyli przewidującem i rozumnem

staraniem się o utrzymanie żywota własnego i potomków, ową „Lebensfürsorge,“ jak ją nazywa autor. W niej upatruje on główną dźwignię, wznoszącą człowieka nietylko nad zwierzęta, ale zapewniającą tryumf jednej rasy ludzkiej nad drugą: te tylko się utrzymały i te zapanowały, które potrafiły dzielniej i umiejętniej życie sobie opatrzyć, chociaż, dodaje Lippert (str. 45), nie zawsze lepszym etycznie dostawało się to zwycięstwo.

Dwa pierwsze rozdziały poświęca on ustawieniu zagadnień dziejowo-cywilizacyjnych, a dalsze szczegółowemu ich rozpatrzeniu. Kolejno więc rozważa w tomie I rozszerzenie się plemion na ziemi, pierwsze ślady bytu rodzinnego, wpływ ognia i narzędzi na rozwój kultury, genezę pokarmów i odzieży, początki rolnictwa i chowu zwierząt, wreszcie uprawy roślin pokarmowych.

W niektórych rzeczach różni się poglądem od poprzednich badaczy, jak np. od Morgana, Bachofena i Lubbocka co do początków rodziny; naogół pracę Lipperta poczytywać można za dopełniającą, prostującą i godzącą dawniejsze, słowem zajeden z najświetniejszych płodów literatury niemieckiej.

Traci ona przez śmierć Jana Scherra (21 listopada r. b.) zdolnego i uczciwego pracownika. Imię jego nieobcem jest naszemu ogółowi; posiadamy w przekładzie kilka dzieł jego, a pomiędzy niemi dzieje literatury powszechnej w dwóch nawet tłomaczeniach. Urodził się on w Wirtembergskiem; umierając, miał lat siedmdziesiąt. Nie sądzono mu było zakończyć życie w ojczyźnie. Burze rewolucyjne r. 1848 zmusiły go szukać przytułku w Szwajcaryi, należał bowiem do najgorętszych radykałów niemieckich. Tam oceniono wysokie jego zdolności i powołano na katedrę historyi i literatury do Zurychu, gdzie też do końca żywota pozostał. Pisarz niezmiernie oryginalny i śmiały, idealista umiarkowany, a obok tego czasami pesymista aż do cynizmu; ośmieliłbym się powiedzieć: Carlyle niemiecki, podobny i w tem do anglika, że na starość dał się otumanić mniemaną wielkością posłannictwa Niemiec i nieraz pisał niezgodnie z szerszym, ogólno-ludzkim poglądem, który, bądź co bądź, głównym był i najzaszczytniejszym wątkiem jego żywota. O ostatniej pracy jego mówiłem niedawno w *Prawdzie* (nr 27 r. b.), ubolewając nad chwianiem się zasad starzejącego się „republikanina,“ jak sam siebie nazywał.

Mając sobie za zwykły obowiązek zwracanie uwagę czytelnika na nowsze znane mi pisma donioślejszej wartości, notuję tu świetne studyum Fustela de Coulanges, autora głośnej pracy *La cité antique*, zamieszczone w ostatnich zeszytach *Revue des deux mondes*, zawierające badania nad ustrojem pracy rolnej i wieśniactwa rzymskiego; większy to przyczynek do dziejów cywilizacyi, rzucający wiele nowego światła na sprawę dość ciemną, lecz niemniej zajmującą.

Wspominałem nieraz dawniej o słowniku ukraińsko-niemieckim Żelechowskiego; dziś już jest on ukończony i świetnie się przedstawia w dwóch sporych tomach. Autor umarł przed ukończeniem druku; ze zgromadzonych przezeń zasobów doprowadził dzieło do końca profesor Niedzielski. Posiadamy tedy pierwszy dokończony i śmiało rzec można wyborny słownik ukraiński, piękny pomnik pracy całego życia Żelechowskiego.

Na zakończenie coś o muzyce. Bo jakże, pisząc z najmuzykalniejszego miasta w świecie, i to w dobie koncertowej, nie wspomnieć choćby przelotnie o sztuce, która jedna może, w obecnej epoce obniżenia ideałów i poważnienia ludzi, przemawia do nas czarownym głosem sfer wyższych i pieśnią zgody.

Możecie sobie wyobrazić, iż zalani tu jesteśmy koncertami, produkcyami, wieczorkami muzycznymi, widowiskami na cele i bez celów. Wśród tej „kwiatów powodzi“ wykwitają czasem tak cudne róże i lilie, że grzechem by było nie schylić czoła przed niemi. Kto usłyszał taką naprzykład Kochańską, jak ja tutaj niedawno po raz pierwszy (ehen me miserum!), ten, chociażby był zatwardziałym pesymistą i mizantropem, musi wpaść w zapał i powiedzieć sobie (i innym, jeżeli wolno), że taki głos, taki śpiew, taki czar, to coś fenomenalnego, to coś chyba nieziemskiego... Przerywam na tych kilku wykrzyknikach, bo się obawiam, abyście mnie nie posądzili o przesadę. To tylko dodam, że w czasach, kiedy w Niemczech wszystko, co polskie, znajduje się pod klątwą, Kochańska nieulękła się zaśpiewać tu, w Dreznie, przed tysiącami niemców, mazura Szopena *po polsku*.

Byłem też świadkiem haniebnego wygwizdania Bülowa za to, że w Pradze znał się i przyjaźnił z czechami. Smutne to było: wstydziłem się za bliźnich moich, o ile bliźnimi nazywać nam wypada niemców, a szczególnie takich niemców.

Przed kilku dniami jeździliśmy do Pragi, aby usłyszeć na scenie czeskiej po raz trzeci wznowioną *Halkę* Moniuszki; grano ją znowu tam przed kilku dniami.

Jan Karłowicz.

HOŁDY POŚMIERTNE.

II.

Jeżeli ambicya narodu może się czuć połechtana czcią, jaką mu okazuje pisarz cudzoziemski, syn kraju bardziej wrogiego, niż przyjaznego, to bez wątpienia w tem położeniu szczęśliwem znajduje się Francya. Ma ona w niemcu-Heinem wielbiciela niepospolitego, a co więcej, natchnionego; bo z ust jego posłyszała nie zdawkowe słowa pochwały lub uznania, lecz kilka hymnów nieśmiertelnych, jak sam ich pieśwca.

Z kolei więc Francya poczuwa się do wdzięczności — i spłaca ją za pośrednictwem jednego z dobrych przedstawicieli swego piśmiennictwa. — Ludwik Ducros, profesor literatury we wszechnicy poitierskiej napisał większych rozmiarów dzieło *), w którem na podstawie najwiarogodniejszych źródeł i niezmiernie gruntownej znajomości utworów, śledzi bieg życia poety od zarania do r. 1827 i na tle tem rozwija obraz jego twórczości. Jest to pierwsza poważniejsza monografia, poświęcona Heinemu przez byłych władców ojczystego Düsseldorfu. Dotychczasowe, jak Emila Montagu, Henryka Julii i kilka drobniejszych, noszą cechę bądź wspomnień, bądź szkiców literackich. Praca Ducrosa jest książką nader ponętną dla miłośników jego bohatera i godną uwagi nietylko jako haracz, lecz zarazem jako bogaty zbiór faktów i rozbiorów, rzucających silne i jasne światło na osobistość wielkiego pieśniarza. Dla wspomnianych przyczyn rzecz podobną pisze się z zamiłowaniem — a więc i czyta nie inaczej; zwłaszcza, gdy jak obecna, rachuje się z pokrewnemi studyami, dopełnia je i prześciga.

Autor ma zupełne prawo twierdzić, iż Heine był najbardziej francuzem ze wszystkich poetów niemieckich — i naturalnie cieszy się z tego. By zaś wytłomaczyć owo zjawisko, bada szczegółowo warunki wychowania przyszłej zakały Prus i dochodzi do przekonania, że sympatya to bardzo zrozumiała, a nawet stanowi niezbędny ich wynik. Rodzinne miasto poety, pogrążone w mrokach duchowego ucisku, z nastąpieniem władztwa francuzów, jedno z pierwszych odetchnęło swobodniej. Wkroczenie wojsk napoleońskich było jak gdyby dniem dla zaspałych i zleniwiałych księstw nadreńskich. Nowe prawo cywilne, nowe stosunki rolne z zapałem powitane zostały przez wszystkich, którzy ich dobrodziejstwa poznali, a Heine mógł je odczuć nierównie głębiej. Paryas, zamykany wraz z resztą żydów w cuchnącem *ghetto*, skąd wydalać się można było tylko z receptą do apteki, pojął on należycie, czem dla współplemieńców była prawica wielkiego boga wojny, kruszącego pęta wyznaniowych upośledzeń i przywracającego wolność nawpółuduszonym sumieniom. Gdy dawniej żydowi wracającemu z wojny, w której krew przelewał za Niemcy, kazano zdejmować mundur — teraz wolno mu było walczyć i okrywać się sławą na równi z innymi, teraz w imieniu wszystkich religij rabin przyjmował mową uroczystą Bonapartego i zyskiwał jego podzięki.

Rozmaite więc czynniki podmiotowe i historyczne złożyły się na gorącą miłość poety dla zwycięzców. Nie był on w niej zresztą odosobnionym, wszyscy mieszczanie płakali, gdy ich wielkorządca Murat opuszczał Düsseldorf, by objąć tron neapolitański, wszyscy instynktami i uczuciami wybiegali za Ren. Tam życie kipiało — tu wlokło się żółwim krokiem; nieprzyjaciel, droższy później od przyjaciela, wniósł, jak słusznie mówi autor, furyę francuską do Niemiec, a Heinemu przeznaczonem było stać się jej namiętnym rzecznikiem. On to płomienną wyobraźnią patrzał, jak promienie chwały genialnego wodza padały aż za Austerlitz i Jenę; on to oczami pożerał marmurową jego postać, przebiegającą na spienionym rumaku ulice podbitego grodu, on wreszcie widział, jak szczątki dwudziestojęzycznej armii powracały z moskiewskich pobojowisk wychudłe, wynędzniałe, padające z głodu na bruk germańskich miast, niby ponury zwiastun niedalekiego upadku Cezara. On widział zenit jego sławy i otchłań poniewierki i upamiętnił je na wszystkie czasy dwoma utworami: „Doboszem Legrand“ i „Dwoma grenadyerami.“ Głuche tony bębna, wygrywającego „Marsyliankę“ uczyły małego Henryka mowy francuskiej; one wszczepiły weń duchu niepodległości, więc też spłacił im dług zaciągnięty w dzieciństwie opowieścią, w której zawarł skarby poezyi, uczucia i dowcipu.

Ta część dzieła Ducrosa należy do ciekawszych i najlepiej opracowanych. Ziarna francuskiego posiewu wydobywa on skrzętnie z tej żyznej gleby i znakomicie je rozbiera. Do nich też należy liceum katolicko-francuskie w Düsseldorfie, w którem Heine początkowo pobierał nauki, gdzie udoskonalił jeszcze swą znajomość języka i skąd wyniósł niepokonany wstręt do wiersza francuskiego, któremu odmawiał wszelkiej do poezyi podatności. Na ten czas przypadają też pierwsze cierpienia przyszłego wieszcza, jak owo znęcanie się nad nim towarzyszów z powodu podobieństwa imienia jego *Harry* do nazwy pewnego osła, bardzo popularnego wśród gawiedzi, i inne tym podobne przykrości, które kiedyś miały być opłacone taką goryczą i szyderstwem.

Zatrzymawszy się dłużej nad pierwszymi zawodami miłosnymi wrażliwego młodzieńca, w których autor widzi kolebkę późniejszych arcydzieł jego erotyki, przechodzi z nim kolejno uniwersytety w Bonn, Getyndze i Berlinie, po których ten w swem zamiłowaniu do burszowskiej włóczęgi wałęsał się, towarzyszy mu przy tworzeniu „Sonetów alfresco“ i inych podczas tej wędrówki napisanych poezyj.

Cały ten okres życia nakreślony został przez Ducrosa na należycie szerokiem tle.

*) *Henri Heine et son temps* (1799—1827). Paryż, 1886.

Jak poprzednio dla wytłomaczenia pierwszych nabytków poety, poruszone zostały dzieje prowincyj nadreńskich, prądy panujące w szkole, osobistości, nią kierujące i książki, które, jak *Don Kiszot* i *Podróże Gulliwera* silniej odbiły się na młodocianym umyśle wieszcza, tak tutaj wypadło autorowi zapoznać się z duchową atmosferą studzien mądrości, z których czerpał Heine. Jak wiadomo, wbrew wewnętrznemu powołaniu, wstąpił on na wydział prawny, ulegając kaprysom stryja swego Salomona, najbogatszego z bankierów hamburgskich, który wogóle nie miał wielkiego nabożeństwa do poetyckich rojeń bratanka i często powtarzał, że „jest próżniakiem, skoro musi robić książki“ — tak bowiem pojmował działalność pisarską—ale był za to jedyną podporą jego, stałym lekarzem chronicznej choroby—niedostatku. W Bonn Heine zaczął już uczuwać na sobie tchnienie reakcyi, spłodzonej przez kongres wiedeński. Nawet Fichte, najszlachetniejszy i najmężniejszy z filozofów niemieckich, przyczynił się do poskromienia studentów swem apostolstwem powagi i przesadzonym kultem obyczajowej czystości, a cóżdopiero mówić o Jahnie, który z fanatyzmem idyoty głosił nienawiść dla wszystkiego, co pachnie Francyą, i wołał do ojców, że „uczyć córki mowy francuskiej, jest to uczyć je — prostytucyi.“ Wkrótce też uroczystość korporacyi w Wartburgu i zamordowanie Kotzebuego, podejrzewanego o szpiegostwo, dopełniły miary i rozpoczął się, zainaugurowany karlsbadzkiemi ograniczeniami, szereg prześladowań, które i naszego bohatera przed trybunał uniwersytecki zapozwały. Jednak i wiele dobrego zawdzięczał on owej „alma mater“ — poznał tam Wilhelma Schlegla, podziwiał w nim pierwszego uczonego, wytwornego zarówno w życiu jak teoryi, słuchał z namaszczeniem wykładów, ścisłej analizy eposu średniowiecznego niemców oraz poezyi indusów. Ten to estetyk był, rzec można, głównym mistrzem Heinego, on go wtajemniczał w prawidła metryki, przypuszczał bliżej do swej osoby i zaznajamiał z płodami muzy największych poetów, z pomiędzy których Goethego i Szyllera zaliczał do swych przyjaciół. A ile skorzystał genialny uczeń z nauk przewodnika, widać już z sonetów, które przewyższają o tyle sonety Schlegla, o ile ciało żywe i kwitnące przewyższa trupa. Sam zresztą Heine nie wysoko cenił twórczy talent swego nauczyciela i z lekka go wyśmiewał, a już na dobre puścił wodze sarkazmowi w tylko co wzmiankowanych utworach, gdzie „uczone małpy,“ niemiłosiernie skarykaturowane są, pospołu z dziewczętami o małych serduszkach bez miłości.

Wypędzony z Bonn za pojedynek—sztukę krzyżową uprawiał z zamiłowaniem większem niż Pandekta — Heine przeniósł się do Getyngi. I tutaj nie popasał długo, również dla zbytniej swady relegowany; zapewne bez wielkiej z jego strony boleści, jak to widać z satyry, wyszydzającej kapłanów Temidy, ich czczość, sztywność, suchość i głupotę. I rzeczywiście wyniósł on stamtąd jeszcze większy wstręt do studyów nad prawem, który spotęgował się nadto przez upodobanie do dziejów. Wogóle prócz materyału do szyderstwa, prócz „studentów, profesorów, filistynów i bydła,“ prócz kobiet, na których widok niepodobna było nie myśleć o nogach słonia—i jednego, jedynego historyka Sartoriusa, co w nim odgadł umysł wielki i zachęcał do swego przedmiotu, Getynga nic mu nowego nie pokazała.

W ognisku życia duchowego Niemiec — Berlinie, Heine dokończył swego wychowania. Mnóstwo stosunków z lepszymi pisarzami, bywanie w salonach wytworniejszych, dało mu ostateczną ogładę literacką i naukową. Kilka też wybitniejszych postaci podziałało nieco silniej na umysł młodego poety, czego dowodem są „Listy z Berlina.“ Z tego też źródła czerpie Ducros rysy dla scharakteryzowania ówczesnego nastroju społeczności berlińskiej i chociaż czyni to starannie, jednakże mało wyraziście. Znajdujemy tu wprawdzie fizyognomię „lepszego“ towarzystwa, sylwetkę króla Wilhelma III, wizerunek obyczajów miejscowych, okazy naśladownictwa paryskiej „haute volée,“ ale nie zachwycamy się tym rozdziałem. Do lepszych urywków należy obraz filozofii Hegla i jego apoteozy pruskiego ustroju państwowego oraz portrety przyjaciół Heinego: Racheli Levin, jej męża, Varnhagena von Ense, a także brata, Ludwika Roberta. Są to poeci w znacznej części francuskiego pochodzenia i gustów; im Heine zawdzięcza zamiar przeniesienia się do Paryża, oraz temat do kilku sonetów. Tutaj też zawiązał stosunki z Grabbem, Chamisso, Boppem i Wolfem, tutaj zapoznał się bliżej z kasynem na Bärenstrasse, wszedł w bliższe zetknięcie z... szalonemi orgiami, w towarzystwie komedyopisarza Devrient i Grabbego. Życie gorączkowe, przeplatane mnóstwem „herbat estetycznych,“ nie przeszkadzało mu jednak ślęczeć nad tragedyami i lirycznem intermezzo, które niezadługo ujrzeć miały światło dzienne.

Wszystkie te wpływy i wypadki, pozbierane z własnych listów poety, nie składają się jednak, powtarzamy, na jaskrawy, łatwy do pochwycenia rysunek. Dużo tu szczegółów, a mało idej przewodnich, któreby pozwoliły ująć w określone formy rolę Berlina w rozwoju talentu głośnego już wówczas liryka. Nieledwie jak *deus ex machina* zjawiają się na tem tle utwory dramatyczne „Almanzor“ i „Ratcliff,“ chociaż nie może wątpliwości ulegać, że musi zachodzić bliższy związek przyczynowy między nimi a pobytem w stolicy Prus. Jest to miejsce w biografii Heinego niejasne, a nie sądzimy, by ciekawość czyjąkolwiek dostatecznie zaspokajał pogląd Ducrosa na aspiracye, jakich wyrazem miały być owe mało udatne płody Melpomeny.

Autor mianowicie sądzi, że Heine pragnął za ich pomocą skojarzyć ducha romantyzmu z formą ściśle plastyczną. W „Almanzorze“ maluje on kontrast między etyką islamu i chrystyanizmu, nawiasem mówiąc, wpada w śmieszność, albowiem zgrzybiałemu Hassanowi każe wzdychać do... hurysek. W „Ratcliffie“ zaś hołduje chorobliwej modzie tragedyi fatalistycznej, jaką stworzył Zacharyasz Werner, a jakiej zarodki tkwią już w „Narzeczonej z Messyny.“ Zamiast fatalizmu logicznego charakterów i namiętności, sprężyną akcyi w tym rodzaju poezyi jest przeznaczenie, niekiedy bardzo śmieszne, jak np. feralność pewnej liczby lub dnia w roku. Heine uległ panującej manii i skorzystał z niej, ażeby, zdaniem Ducrosa, opłakać własne nieszczęście — wówczas to bowiem ubóstwiana tak wytrwale Amalia (Molly) Heine wyszła za kogo innego, jątrząc na nowo nawpół zabliźnioną ranę jego serca.

I Ducros zaznacza wraz z innymi zdziwienie młodego liryka co do jego zdolności dramatopisarskich. Heine przechodził prawdziwe katusze w chwili wypuszczenia w świat obu tragedyj. To zdawało mu się, iż są szczytem piękna scenicznego, to, że niegodne są imienia tragedyi. Krytyka jednogłośnie zgodziła się na to drugie... Nie pomogło odwoływanie się do Voltaire'a i Racine'a, których wskazówek trzymał się zrospaczony poeta, nie pomogły osławione trzy jedności. Obie sztuki mało są znane i takiemi na zawsze pozostaną.

(D. n.)

N. Hirszband.

KARTKI ESTETYCZNE.

VI. Kartka składana.

Lat temu dwieście Jeża. — Wystawa szkiców. — *Poezye* B. Londyńskiego.

Skarżą się niektórzy — skarży się nawet bardzo wielu, iż poezya nasza zdobywa się dzisiaj zbyt rzadko na utwory „o szerszym oddechu.“

Skargi te dowodzą przedewszystkiem, że skarżący się zbyt formalnie pojmują wyraz „poezya,“ który dla nich oznacza wyłącznie: pracę literacką, pisaną — rymami. Tymczasem poezya może istnieć i bez rymów. Arcydziełami jej są naprzykład: *Anhelli* i *Irydyon*, choć w nich ani dwa wiersze nie rymują się ze sobą. Nawzajem, z iluż mozolnie wymęczonych poematów, przestrzegających skrupulatnie wszelkich prawideł poetyki, napróżno chciałby kto wyciągnąć choć kroplę tej wonnej esencyi życia, która się zwie poezyą!

Pojawiają się więc i dzisiaj utwory poetyczne większe zakresem i rozmiarem — tylko, że zamiast nosić miano poematów, nazywają się poprostu: powieściami.

Zmieniają łożyska swe rzeki, zmienia je też i poezya. Fale jej popłynęły teraz łożyskiem szerokiem, wygodnem, które przyjmuje w siebie zawartość miliona pomniejszych rzeczułek i strumyczków, ściekających doń ze wszystkich pól życia i wiedzy. Powieść służy dziś sprawie piękna i prawdy z tą samą skutecznością, co epos, liryka i tragedya.

Zresztą, sami poeci tę nową formę uświęcili. Pisali powieści: Wiktor Hugo, Goethe, Heine, Krasiński; próbowali pisać: Mickiewicz i Słowacki. Jest to forma dobra, gdyż działa natychmiastowo i na wielkie masy. Dodaje też jej niemało lotności dziennik, który na swych papierowych skrzydłach pierwszy roznosi ją po świecie. Po gazetowym odcinku przychodzi książka, która z półki księgarskiej dostaje się kilku, a z półek taniej czytelni kilkunastu tysiącom czytelników.

Nie powtarzajmy przeto tej płaczliwej, a spowszedniałej już skargi, iż nasi wieszcze następców nie mają. Choćbyśmy nawet nazwali samozwańcami tych, co dziś u nas strun lutni poetyckiej lękliwie próbują, pozostanie nam jeszcze na ukojenie owych lamentów cały zastęp ludzi, tworzących świetne dzieła poetyczne — prozą. Czyż Kraszewski to nie znakomity poeta-liryk, a Kaczkowski poeta-tragik? Czyż w opowiadaniach Rzewuskiego i innych z pod tegoż znaku nie dźwięczy bardzo często rytm poezyi eposowej?

W szeregu tym wydatne też miejsce zajmuje — Jeż.

Poezya nietylko nasza, ale europejska, mało liczy tak cudownie pięknych i głęboko wstrząsających pieśni, jak dwie „powiastki“ tego pisarza: *Szandor Kowacz* i *Handzia Zahornicka*.

A jest on też niepospolitym poetą i w utworach na szerszą skalę zakreślonych, w których idea swobody bywa prawie zawsze ideą przewodnią. Jest to poezya męzka, od ckliwości wszelkiej wolna, owiana jędrnym zapachem stepów i dymem obozowego ogniska nasiąkła. Jeż posiada *wigor*, którego Kraszewskiemu nie dostaje; upodobanie zaś w formie realistycznej broni go od romantycznych wybujałości Kaczkowskiego. Ale jego realizm nie jest bynajmniej materyalizmem, a dosadność nigdy prawie nie staje się szorstkością. Poza metę mdłego konwencyonalizmu wykracza często i z upodobaniem — pamięta wszakże zawsze o prawdzie, przez Krasińskiego zaznaczonej, iż w sferze piękna zmieścić się może wszystko, prócz... chlewa.

Całą artystyczną jego osobowość odnajdujemy w ostatniej powieściowej pracy,

która ukazała się świeżo na rynku książkowym p. t. *Lat temu dwieście* (Warszawa, Gebet. i W., 1887).

„Opowieść“ ta, jak ją nazwał autor, poprostu: jest piękną, choć nie wykończoną w szczegółach poetyczną sielanką.

Na tle krwawem wojennej pożogi świetlanemi, eterycznemi liniami rysuje się tu miłość Lajosza i Marty. Oboje są dziećmi Kroacyi, kraju, który gotuje się właśnie do wielkiego dzieła politycznych odrodzin. Lajosz ma schorzałego ojca, Marta dzielnego choć starego dziada. Ten dziad i ojciec nie lubią się wzajem i nie żyją ze sobą. Nie jest to nienawiść Montekich i Kapuletich, wystarcza jednak do tego, aby oboje kochanków rozdzielić, pozwalając im jedynie na porozumiewanie się — oczami. Lajosz nie zamienił z Martą ani jednego słowa, żyje w idealnem oddaleniu od niej, a jednak pewny jest jej serca i zaprzysięga, że innej dziewki za żonę nie weźmie.

Nader to oryginalny stosunek — przypominający miłość Maryusza i Kozety z *Nędzników*. Zanim autor połączy tę parę rozkochaną, wprzód każe Lajoszowi spłacać dług ojczyźnie. Młodzieniec bije się z turkami jak lew, bohaterstwem swem zdobywa sobie miłość opiekuna dziewczyny, a kiedy z nią samą po raz pierwszy z bliska się spotyka, obowiązek każe mu iść do szturmu — nie zamieniwszy z ukochaną ani jednego słowa...

Czyż nie jest to scena z poematu? Czyż nie chlubiliby się nią najwięksi z naszej romantycznej plejady? Kto uważa powieść za „fotografię życia“ (?!), temu ta konsekwencya autora w utrzymaniu jednego tonu *usque ad finem* wyda się może „sztuczną“ — sztucznem jednak w mniejszym lub większym stopniu musi być każde dzieło sztuki. Inaczej nie byłoby sobą.

Lajosz i Marta to bliscy krewni Dafnisa i Chloi — a także Hermana i Doroty, Tadeusza i Zosi... Gromy wiszą nad ich głowami i czytelnik drży z obawy, aby spadłszy, nie zamieniły sielanki w tragedyę; ale autor, pamiętny swego celu, rozprasza wszystkie chmury, jedną po drugiej (fotografowie znów rzekną: „sztucznie“) i pokazuje czytelnikowi na końcu książki przeczysty błękit życiowej i politycznej pogody.

Sielanka! szczera, poetyczna sielanka!

. . . .

Trzecia z rzędu Wystawa szkiców, powinnaby nazywać się „Wystawą szkiców i... galanteryi.“

W pierwszym roku widzieliśmy na niej dużo szkiców malarskich, galanteryi zaś ani trochę. W drugim roku mniej szkiców malarskich, a za to trochę galanteryi. Obecnie widzimy dużo galanteryi, a tylko trochę szkiców malarskich. Poczekajmy rok jeszcze — a szkice znikną zupełnie i pozostanie sama tylko galanterya.

I wówczas jednak uprzejmi warszawiacy nie przestaną nazywać tego sklepu galanteryjnego — „Wystawą szkiców.“ Uprzejmość ich pod tym względem nie od dzisiaj już znana. Alboż nie nazywają „zabawami“ zebrań, na których cierpią katusze nudów? Alboż nie tytułują „naiwnemi“ aktorek, które finezyą przeszły Machiavela?

Główną więc treścią tegorocznej wystawy są: wachlarzyki, filiżanki, karneciczki, lichtarzyczki, portmoneteczki, neseseruchny itp. (wszystko się tam spieszcza, w imię hasła *grace aux dames!*). Sprawozdawcy o drobnych, „galanteryjnych“ duszyczkach poświęcają każdemu z tych nikłych sprzęcików szczegółowe opisy. Zachwycają się niezapominajką, którą wymalowała pani A., wzdychają przy chałupce wypracowanej przez panią B., a czerwony ogonek ptaszka, który wyszedł z pod paluszków panny C., o łzy ich przyprawia...

Niech płaczą... my im szczęśliwego rozrzewnienia psuć nie będziemy.

Zrobimy jednak małą uwagę.

Wystawa szkiców ma być z założenia swego: kramikiem artystycznym. Artyści, którzy dość już się gdzieindziej nawystawiali, pragną tutaj coś sprzedać. A że łatwiej sprzedać dziesięć cali, niż dziesięć łokci malowanego płótna, i że prędzej znajdzie się w Warszawie „mecenas“ o sile pięciu, niż pięciuset rubli, przysposabiają więc na ten targ przedświąteczny, drobne szkicowe robótki.

Artystom (ale tylko artystom) należy się taki równoważnik, pozwalający pokryć niedobory, na polu pracy poważnej spotkane. Artystom (ale tylko artystom) wolno też niekiedy posługiwać się zaniedbaną trochę formą, gdyż jest to przywilejem służącym prawdziwemu pięknu, iż nie przestaje być sobą nawet w... negliżu.

Dlaczegoż jednak tę trochę ziarna, które publiczność sypie owemu stadku miłych sobie skowronków czy kolibrów, rozkrada im, przy ustach samych, czereda... domowego ptactwa?!

Bo, pozostawiając już na stronie kwestyę „nadobnych galanterniczek“ (niebezpieczna!), widzimy ze smutkiem, iż dziewięć dziesiątych miejsc na wystawie zajmują obskurni dyletanci i amatorzy, wystawiający tam bezczelnie prawdziwe „grzechy“ rysunkowe i kolorystyczne. Publiczność nasza — jak każda — wierzy pozorom i gotowa kupować to niedołęztwa, w przekonaniu, iż wszystko co się znajduje na wystawie artystycznej, musi być artystycznem.

Panowie urządzający wystawę zanadto dbają o tytuł uprzejmych gospodarzów. Uprzejmość to nie na miejscu. Trzeba niekiedy umieć być niegrzecznym. Jeżeli wystawa zatraci swój artystyczny charakter (a szybkim krokiem zmierza do tego), straci zarazem i racyę istnienia.

Póki czas, trzeba ją oczyścić ze śmieci... Do miotły zatem! do miotły!

. . . .

Béranger i Heine wywalczyli dla wesołej piosenki prawo obywatelstwa na Parnasie. Dziś już poważnie sfałdowana szata, mars olimpijski na czole i podwyższone koturnem stopy, nie stanowią koniecznych przyborów Apolinowego syna. Wyłomem zrobionym przez mistrzów wdzierać się już dziś mogą „na skałę Kaliopy“ genialni śmieszkowie i utalentowani pustacy, którym ongi honorową furtę Parnasu brutalnie przed nosem zatrzaskiwano.

Jednakże i przy tym wyłomie stoi straż, wymagająca od przybyszów — legitymacyi. Wesołość nierówna wesołości, ani śmiech śmiechowi. Pomiędzy humorem Heinego a konceptami Sotera Rozmiara wykreśla się dość wydatna granica, której lekceważyć nie można...

P. Bolesław Londyński, który wydał świeżo swoje *Poezye*, drukowane przedtem po pismach humorystycznych pod pseudonimem „Bruno Las,“ nie ma w sobie nic z Bérangera i tyleż prawie co nic, z Heinego. W wierszach owych przerzuca się on od bezcelowego żartu do niewyraźniej satyry, od płaskiej pospolitości do przesadnego patosu, zdradzając duszę niespokojną i chorą, która nie zdaje sobie jasnej sprawy z zadania poezyi, ani też z własnych literackich dążeń.

Łatwość rymowania pozwala mu pisać bez trudu długie szeregi strof, które czynią wrażenie improwizacyi rzuconych na papier pośpiesznie, bez dostatecznego przemyślenia i dbałości o formę. Chwilami dźwięczy w tych strofach echo myśli podnioślejszej, uczucie protestu przeciw społecznej niesprawiedliwości — niknie jednak wprędce, zgłuszone wrzawą innych, zgoła niepoetycznych, tonów. Rzeczby można, iż w duszy poety znajduje się jakaś jedna struna, rozstrojona czy też zerwana, która od chwili do chwili brzęczy fałszywie, psując rodzącą się zaledwie harmonię...

Na ogół — choć autor liczy się do poetów humorystycznych — więcej w jego pieśniach piołunu, niż miodu. Nędza, zwłaszcza też nędza materyalna, budzi w nim szczere politowanie. Oburza się na nierówność losów ludzkich, na wyzysk samolubów itp. Ale do walki w obronie pokrzywdzonych nie ma dość siły. Jakieś smutne, zimne rozczarowanie odebrało mu wiarę w przyjaźń, miłość, honor, szlachetność. *Deklamuje* niekiedy na temat wielkich idei, wzniosłych obowiązków... ale deklamuje zbyt patetycznie, aby w szczerość tych wykrzyków można było uwierzyć...

Najlepszemi w książce p. L. są piosenki lekkie, bezpretensyonalne, w których w zręcznej formie opowiada wesołe niedole kawalerskiego żywota, komedye matrymonialne, drobne epizody z życia miejskiego itp.

Czy jednak to wszystko wyjdzie — jak chce autor — „ojczyźnie na pożytek“... nie wiadomo.

Wiktor Gomulicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Siła frazesu i jego płodność. — Co to jest szlachta. — Mętna treść wyrazu. — Stopniały lodowiec. — O kogo walczą. — Bank likwidacyjny. — Obietnica w tytule. — Szczyty naiwności. — Mierzwiński. — Mieszkańcy Stanisławowa jako psalmiści w stylu Dawida. — Jak wychodzą za mąż nasze żydówki i jak się kochają żydzi. — Handel zamienny. — Biedna miłość. — Podejrzane kwiaty uczuć.

Rzecz dziwna, jak trudno człowiek rozstaje się z frazesem, chociażby ten frazes na wierzchu nosił swoją fałszywość, chociażby do szczętu wyschło w jego łupinie ziarno sensu. Ludzie łatwiej pozbywają się cnoty i występku, niż oddziedziczonego lub nabytego i stale powtarzanego frazesu, wszelkiej brodawki mózgowej, której nic zem odciąć niepodobna. Możesz kogoś nauczyć lub oduczyć tańca, algiebry, picia absyntu, filozofii idealno-realnej, volapüku, ale daremnie odzwyczajałbyś go od mówienia: wschód słońca — większa połowa — mości dobrodzieju — dalibóg — grzeczny francuz — świątobliwy kapłan — pozytywista itp. Nałóg ten nie ogranicza się do życia towarzyskiego i jego spraw drobnych, sięga on w najwyższe sfery wiedzy. Z pustego frazesu wyrósł las systemów, całe gałęzie nauk. Obecna ekonomika, czy socyologia, tłucze się w kwadracie, którego jeden bok stanowią chłopi, drugi — szlachta, trzeci — mieszczaństwo, a czwarty — arystokracya (w ostatnich dopiero czasach dodano bok piąty z ludu roboczego). Nie przeczę, że ta figura odpowiada poniekąd rzeczywistości, ale ileż w niej złudzeń i sztuki! Co to jest np. *szlachta*? Czy klasa społeczna odznaczona pewnem pochodzeniem, czy też zamknięta w pewnej dziedzinie pracy i interesów? Czy to nazwa etnologiczna, czy też ekonomiczna? Nie wiem. Posiadacze herbów zajmują różne stanowiska — urzędników, kupców, przemysłowców, posłańców, konduktorów — i socyologowie nasi nie liczą ich do szlachty, która z tym tytułem występuje dopiero na roli. Ale i ta rola nie stanowi jej podstawy: ziemia bowiem w znacznej części należy (jako własność większa) do ludzi najrozmaitszego gatunku — prawnie, szlachecka zaś do kapitali-

stów — faktycznie. P. Skiski — karmazyn rodowy, staje w jednej kategoryi obok p. Pufkego, którego punkt ciężkości politycznej, religijnej i społecznej leży nad Sprewą lub Renem. Nie dość na tem, ów p. Skiski, którego majątek wart 100.000 rs., ma na nim długu 75,000. Jeżeli wszystkie tego rodzaju wypadki dodamy razem, to wypadnie nam, że szlachtę stanowią karmazyny, dorobkowicze, mieszczanie, niemcy, żydzi — wszyscy właściciele większych kawałów ziemi, oraz że właścicielami tej ziemi są nie ci, którzy w jej wartości mają 75, lecz 25%. Taką regułę postawił frazes. Szewcom dziennikarskim, którzy skórkę z tego frazesu naciągają na swoje kopyta i robią z niej buty dla dobra ogólnego, zdaje się, że oni istotnie trzymają w ręku coś rzeczywistego, tymczasem oni trzymają tylko złudzenie. Rozumiem rzecznictwo w obronie ludu wiejskiego, robotników, mieszczan, arystokracyi, ale co znaczy książkowa i gazetowa adwokatura szlachecka — nie pojmuję. Nie widzę bowiem tej „licznej i poważnej warstwy," która kiedyś była całym narodem a dziś ma być jego „czołem." Ściśle bowiem biorąc, adwokatura ta odnosić się może conajwyżej do szczupłej garstki ludzi, którzy istotnie posiadają herby i ziemię, tradycyę rodową i warsztat ekonomiczny własny, a nie dzierżawiony za wysokie procenty od kapitalistów. Szlachta polska stopniała, jak wielki lodowiec i wsiąkła w rozmaite pokłady narodu, rozpłynęła się w potokach; tylko tu i owdzie pozostały na wyżynach jej odłamy. Już nie pokrywa ona sobą wielkiej przestrzeni ziemi, zajętej przez inne naloty i nasypy; utożsamianie więc jej z całem zamożniejszem ziemiaństwem jest bezmyślnem nadużyciem wyrazu.

Prasa nie może zachowywać tej ścisłości w swojem słownictwie, co literatura naukowa; ale i ona nie powinna wywieszać na swych sztandarach słów wieloznacznych, jeśli to są jej godła bojowe. O prawa jakiej *szlachty* walczą jej szermierze? Czy szlachty wogóle, a więc rzeszy spisanej u Niesieckiego lub wreszcie Kosińskiego, bez względu na jej zajęcia? Czy nielicznej szlachty rolnej i bogatszej? Czy też kruszą się kopie i łamią karki w obronie posiadaczów własności większej, tej mieszaniny pierwiastków najrozmaitszego pochodzenia, swojskich i obcych, słowiańskich, germańskich, romańskich, semickich itd.? Odpowiedź jasna na to pytanie przerwałaby grę w ślepą babkę naszego konserwatyzmu, ale usunęłaby ze sporów wiele nieporozumień, które służą za punkt oparcia dźwigniom malеńkich Archimedesów socyologii domorosłej.

Odpowiedź ta wykazałaby również, komu służyć będzie projektowany „bank likwidacyjny" w Warszawie, budzący bardzo wiele zapału śród przyjaciół „szlachty." Wogóle od pewnego czasu w naszej recepturze społecznej banki uważają się za główny środek, wzmacniający zdrowie narodu. „Tani kredyt" jest najpiękniejszem marzeniem „szlachcica," ideałem, którego niezdolna zrównoważyć ani praca, ani energia, ani umiejętność gospodarcza. Zwłaszcza od wybuchu przesilenia rolnego, ów „tani kredyt" stał się zwrotką wszystkich pieśni, błaganiem wszystkich litanij, panującą nutą wszystkich gorzkich żalów większej własności ziemskiej. Tego tylko brakło, ażeby na nią padły blaski szczęścia. Nie jestem socyalistą, nie pragnę pomoru lub zagłady dla ludzi dwudziestowłókowych a manny niebieskiej dla półwłókowych, nie otworzyłbym wyłącznie puszki Pandory dla „obywateli," a rogu Amaltei dla chłopstwa; wierzę, iż do pracy nad pomyślnością narodu winny być powołane wszystkie jego żywioły, wiem, że rolnictwo przechodzi obecnie niemoc ciężką i zasługującą na ratunek, ale pomimo to sądzę, że rojenia o tanim kredycie są albo naiwnością, albo manią, że on nie zastąpi uzdolnień i przymiotów gospodarczych. Jeżeli dług lichwiarski jest nożem ostrym, to bankowy — tępym, ale zawsze nożem. Bank likwidacyjny chce wejść na miejsce wierzycieli prywatnych ziemi i dać jej właścicielowi pomoc mniej drogą! Ani słowa — korzyść. Ale nie należy jej przeceniać. Pamiętamy, jakie to cuda zrobić miały dodatkowe pożyczki Towarzystwa kredyt. ziemsk. — gdzież są te skutki? I bank likwidacyjny tego lub owego podeprze chwilowo, lecz t. z. „szlachty" na nogi nie postawi, a dotrzyma jej tego, co przyrzeka w swym tytule — zlikwiduje ją. Musi ona więc pójść dalej w kierunku wysileń i ofiar, w którym po części już poszła pod naciskiem konieczności, musi być ukształconą, rządną, oszczędną klasą *przemysłowców* rolnych, a nie *obywateli*, spożywających w bezczynności rentę gruntową i trudniących się jedynie rozrywkami i tytularnem przedstawicielstwem narodu.

Ta nasza, poczciwa zresztą, ale dziecinna naiwność dosięga często takich szczytów, na które zdrowy rozum chłopski ledwie za nią podążyć może. Klaszczemy w dłonie, zapomniawszy o wszystkiem, co czujemy, widzimy, słyszymy i przysięgamy sobie, gdy p. Mierzwiński uczy się libret niemieckich, ażeby mógł z lepszem powodzeniem występować w operach Wagnera, jesteśmy gotowi każdy, najprzeciwniejszy naszym zasadom obywatelskim zarobek polaka za granicą wliczyć do chwały „narodowej." Albo na tem koniec! Rząd włoski polecił zburzyć celę św. Stanisława Kostki w Rzymie. Mieszkańcy Stanisławowa galicyjskiego wysłali z tego powodu adres, prosząc o miłosierdzie dla pamiątki po ich patronie. „Adres ten — donoszą korespondencye — przedrukowany w dziennikach włoskich, zrobił głębokie i powszechne wrażenie; porównywają go z *psalmami Dawida.*" Przesadny frazes którejś z gazet wzięto za dobrą monetę prawdy, i dziś rzadko które pismo polskie nie głosi światu wieści, że mieszkańcy Stanisławowa urodzili coś równego psalmom Dawida. Ludzie rozsądni, oświeceni, krytyczni, jak wy możecie bezmyślnie powtarzać taką banialukę! A toż przeczytajcie ten adres i psalmy Dawidowo — albo — zamówcie u poetów stanisławowskich, żeby wam ułożyli piękny rozdział Biblii narodowej.

Pewien (bezimienny) Dawid warszawski wyśpiewał w osobnej broszurce żale nad małżeństwami naszych żydówek. Opisuje on w swym psalmie rozmaite postacie sprzedaży ciał bez serc i posagów bez miłości, ubolewając nad tym handlem, który w świecie żydowskim stał się regułą z rzadkimi wyjątkami. Istotnie, żydzi najbardziej u nas zamienili małżeństwo na interes pieniężny, śród nich najrzadziej rozkwita miłość przed ślubem. Tej spółce również nadali oni charakter handlowy, przy którym uczucia grają rolę podrzędną. A nie wiadomo, gdzie chłód rachuby jest większym: na dole, czy u góry, w sferze setek, czy tysięcy rubli. Uczniowie gimnazyum już się kochają; czy to robią gimnaziści izraelici — nie wiem, nawet nigdy o tem nie słyszałem. Najlekkomyślniejszy lub najsamolubniejszy „aryjczyk" ma serce nabite miłością; tymczasem widziałem wielu młodych „semitów," którzy kupując względy zalotnic, nawet nie myśleli o kochaniu. Odkładali to na później.

Targ ożywił się a popyt na bogate żydówki wzmógł się od czasu, gdy na rynek wystąpili „aryjczycy," gdy rozwinęła się ukazana na scenie przez K. Zalewskiego fabryka „naszych zięciów." Nie można powiedzieć, ażeby w tych tranzakcyach jedna tylko strona była towarem, gdyż właściwie sprzedają się obie — następuje tylko zamiana posagu na stanowisko społeczne. Ten handel zamienny stał się tak dalece zwyczajowym, że jego pozory padają nawet na stadła innymi, szlachetniejszymi węzłami spojone. Niech chrześciański Romeo poślubi żydowską Julię, nie opowie dziejów ich serca Shakespeare, lecz Molière.

— Słyszałeś pan — mówiła przy mnie pewna towarzyska kuryerka do poważnego mężczyzny — ...ski żeni się z... goldówną.

— Szczęśliwy.

— I podobno z miłości.

— Bagatela! 50,000 rs.!

A jednak może ci ludzie kochali się istotnie! Doprawdy, żal mi ich. Biedną jest miłość, która nie może zetrzeć z siebie znamion występku, ale nie mniej biedną taka, która niesłusznie musi nosić pozory zimnej rachuby. Świat się zbyt załgał, ażeby nie był podejrzliwym. Każdy kwiat uczuć nazywa sztucznym, a gdy dotknie i zobaczy, że naturalny, domyśla się w płatkach jego korony — robaka.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Powodzenie Towarzystw kredytowych miejskich: kaliskiego i lubelskiego. — Wielka i mała własność ziemska. — Drogi w piotrkowskiem. — Kto raźniejszy. — Cud w radomskiem. — Nasze Lejzory Sznerkle. — Prasa prowincyonalna i wystawy gubernialne.

Młodziuchne towarzystwa kredytowe miast Kalisza i Lublina cieszą się powodzeniem. Listy lubelskie płacone są przeszło 101 za 100; podobnież kaliskie idą ciągle w górę. Jedne i drugie zawdzięczają wysoki kurs w znacznej części temu, że mają sześcioprocentowe kupony. Z drugiej strony wszakże ogromny popyt miejscowy na te papiery przekonywa raz jeszcze, że kapitałów w kraju jest pod dostatkiem, lecz że są zrażone do wszelkiego rodzaju przemysłu, poczynając od „upadającego" wielkorolnego, aż do wygrzebującego się z trudem z powijaków handlowego i fabrycznego. W Kaliszu minął w listopadzie trzymiesięczny termin zapłacenia drugiej, wrześniowej raty pożyczkowej i księgi Towarzystwa kredytowego nie wykazały ani jednej zaległości, mogącej spowodować sprzedaż przymusową. Właściciele domów w Kaliszu wystawili sobie dobre świadectwo. Prawda, że i dyrekcya miejscowa z niemniejszą postępowała oględnością. Suma wypłaconych po dzień 1 września r. b. pożyczek wynosi 197,100 rs., wartość zaś techniczna ubezpieczonych nieruchomości (murowanych) oznaczoną została przez komisyę na 512,489 rs. szacunek sprzedażny na 613,400 rs., ubezpieczone są na 381,200 rs., a dochodu rocznego przynoszą 54,518 rs. (prawie 9% wartości sprzedawczej). To znaczy, że pożyczka stanowi nieco więcej niż 32% szacunku sprzedażnego nieruchomości, 33½% szacunku technicznego, a 51.70% ubezpieczenia od ognia. *Kaliszanin* skarży się jednak na to, że cena tamecznych listów nie dosięgła cyfr jeszcze wyższych, o co obwinia „spekulacyę miejscowych małych Rotszyldów, którzy wykupują natychmiast wszystko, co się ma ukazać na rynku i podnoszenie kursów możliwie opóźniają." Ciekawa rzecz, coby *Kaliszanin* powiedział, gdyby „mali Rotszyldzi" nie chcieli kupować tych listów i czyby podobna niechęć nie spowodowała obniżki kursu.

Sprzedaże przymusowe dóbr ziemskich natomiast nie ustają. Donosi o nich *Kaliszanin*, donosi i *Gaz. lubelska*. W tych dniach sprzedane zostały za 31,700 rs. dobra Kleszczów, położone w powiecie chełmskim i obejmujące 41 włók. Nabywcą jest p. Dutkiewicz, adwokat. Inaczej rzecz się

ma z własnością mniejszą. Z łęczyckiego piszą, że włościanie tameczni umieją nietylko utrzymać w swych rękach zagon ojczysty, lecz potrafią wyparować z pomiędzy siebie niemców, osiadłych w czasie, kiedy ta część kraju była pod panowaniem pruskiem. Pomiędzy innemi kolonia Mikołajewo przed dziesięciu jeszcze laty była napół niemiecką; dziś pozostało ledwo kilku niemieckich osadników, resztę gruntu wykupili nasi chłopi i kolonia odzyskała fizyognomię swojską. Podług urzędowych danych, jak pisze tenże sam korespondent, włościanie powiatu łęczyckiego nabyli sposobem parcelacyi z obszarów dworskich przeszło 20,000 morgów. Nieopodal Łęczycy właściciel ośmiowłókowego folwarku chce odprzedać sześć włók, a resztę zatrzymać razem z dworem i ogrodem. Włościanie z pobliskich wsi, dawniej rządowych, dają po 150 rs. za mórg, proponują jednak właścicielowi, aby sprzedał całą przestrzeń folwarczną z budowlami i zasiewami, ofiarując w takim razie za włókę po 5,000 rs.

W jednej z nowowydanych książek znalazłem przedziwne wyjaśnienie powodów głębokiego przywiązania chłopa do roli. „Ziemia dla każdego wieśniaka staje się jakby kasą (oszczędności), której drzwi są zawsze dlań otwarte, która przyjmuje najdrobniejsze wnioski bez żadnych formalności, płacąc od każdego wkładu procent, często wprawdzie bardzo drobny, ale zawsze pewny. Posiadanie ziemi, to z jednej strony prawo do robienia oszczędności bez gotowizny, z drugiej zaś, nieograniczona niczem swoboda rozporządzania swym czasem, obracania na swój pożytek każdego członka rodziny, a to wszystko razem stanowi przywileje niezmiernie cenne, które wymagają, aby je opłacono drogo, bo pozyskanie ich częstokroć równie drogo kosztowało. Wreszcie miłość dla ziemi przechodzi z ojca na syna i stopniowo zamienia się w ślepy instynkt...“ *). Wystawmy sobie teraz człowieka, który został dziedzicem z bożej łaski, ale nie — rolnikiem. Ziemia staje się dlań jakby kasą, ale pożyczkową, której drzwi — hipoteka — są zawsze dlań otwarte, lecz która, dostarczając mu pieniędzy, wymaga niemiłych formalności, a między innemi płacenia procentu nie zawsze pewnego, ale zawsze dość wysokiego. Z drugiej zaś strony ziemia ta, wymagając starań, krępuje nieco swobodę rozporządzania swym czasem, swobodę, która byłaby zupełną, gdyby kapitał w ziemi utopiony mógł być ulokowany w papierach procentowych. Otóż jeśli dwa takie żywioły jak rolnik i nierolnik o ziemię współubiegać się muszą, to wynik walki jest nieuchronny, niecofniony. Nie opóźnią go czasopisma poświęcone obronie (?!) większej własności, ani przyspieszą przeciwnicy konserwatyzmu, choćby najzacieklejsi. Niestety, nic też nie pomoże tłomaczenie, że „potrzeby większego ziemianina są rozleglejsze i wyższe...“ niż jego środki. Wszakże jest rzeczą widoczną, że zmniejszenie skali potrzeb nieodzownie będzie w końcu musiało nastąpić. Można wprawdzie opóźniać ten przykry moment, łudząc się czas jakiś, a potem jeszcze jakiś czas żyjąc kosztem wierzycieli, jednak pierwsza z tych zwłok nie jest rozumną, druga nie jest uczciwą i żadna nie ujdzie bezkarnie, tylko pierwsza odbije się na własnej przyszłości byłego ziemianina, druga zaś na kredycie całego stanu ziemiańskiego. Nie są więc chyba nieprzyjaciółmi ziemian publicyści, którzy donoszą czy to zniżenie kamertonu *potrzeb*, czy odprzedawanie ziemi włościanom. Podnosząc tę sprawę, mam na myśli mnożące się „głosy ze wsi,“ odzywające się coraz częściej przeciwko prasie t. z. postępowej.

*) Adolf Coste: *Środki zaradcze przeciw nędzy, czyli hygiena socyalna.* Warszawa, 1887.

Przechodzę do innych spraw prowincyi i — nierad wjeżdżam do gubernii piotrkowskiej. Nierad, gdyż drogi tameczne bynajmniej do podróży nie zachęcają. Na trakcie widawsko-piotrkowskim np., jak donosi miejscowy organ, jest jeden tylko most — pod Rogóźnem, a reszty mostów nie ma wcale. Trakt rzeczony przecina w poprzek gubernię. Kolej warszawsko-wiedeńska, biegnąca wzdłuż gubernii, niebardzo także zachęca do wycieczek, jeżeli dużo miejscowości tak dogodnie łączy się ze swemi stacyami, jak miasto powiatowe Będzin, z którego prowadzi do kolei droga ciasna, pełna dołów i błota, wieczorem prawie niemożliwa do przebycia bez latarni. Mimo te wszystkie przeszkody wypada nam zajrzeć do Pabianic (niegdyś podobno Pobawianic, od zabaw myśliwskich urządzanych w okolicznych lasach). W miasteczku tem odbyć się mają wyścigi, przypominające miasta amerykańskie. Ścigać się będą członkowie straży ogniowej, polacy z niemcami, kto pierwej do szopy ratunkowej przybędzie, gdy zostanie dany fałszywy alarm. Rzecz warta zanotowania, że spór, kto raźniejszy, polacy czy niemcy, wynikł pomiędzy członkami zarządu straży, składającymi się wyłącznie z niemców.

Z gubernii piotrkowskiej przejażdżka nasza skieruje się w górzyste, urocze okolice Bodzentyna, w gub. kieleckiej. Mieszka tam kolonista Pożóg, człowiek młody, ale pijak i niepoń, który swoją dwudziestoletnią, przytem łagodną, uczciwą i bogobojną żonę poniewiera i bije. Nieszczęśliwa kobieta, po jednej z takich suchych łaźni, rzuca dom mężowski, spłakana biegnie do swojej ciotki zamieszkałej w gub. radomskiej, o kilka wiorst od niej. Droga wypada przez wyniosłe wzgórze, u stóp gór świętokrzyskich, na których poblizkim szczycie wznoszą się gmachy niegdyś benedyktyńskiego klasztoru. Wspomniane wzgórze uwieńczone jest wspaniałą sosną, u stóp której rozściela się prześliczna murawa. W dali widok na Bodzentyn, porozrzucane kolonie, kościołki, łany, parowy i ciemne lasy. Przybywszy na wzgórze, pod sosnę, Pożogowa ujrzała cudną osobę w śnieżystej bieli, która ją pocieszyła i odtąd biednej włościance codzień przychodzić kazała; w osobie tej Pożogowa poznała Bogarodzicę. Na wieść o zjawisku ludność okoliczna zaczęła się zbiegać i doznawać najrozmaitszych wrażeń. Niektórzy widzieli osobę z książką, jak przy stoliku klękała, inni zauważyli gwiazdę spływającą wolno z obłoków i zatrzymującą się u stóp drzewa, niektórzy spostrzegają postać w bieli albo przypominającą wizerunek częstochowski, wielu słyszy dzwonienie w sośnie, a mieszczanie z Bodzentyna „uśmiechają się“ i nic osobliwszego nie widzą. Donosi o tem korespondent *Gazety radomskiej*; i „nawet sądzi, że wszystko to być może skutkiem dziwnej jakiejś ekstazy i chorobliwej halucynacyi, której podlegają osoby słabowite i zdenerwowane...“ lecz zwraca uwagę na to, „ile zdrowego a nieobrobionego materyału kryje się w tych sercach, przyciśniętych grubą siermięgą.“ Nie mogłem dobrze wyrozumieć, czy szanowny korespondent w „chorobliwych halucynacyach“ widzi dowód „nieobrobienia“ zdrowych materyałów. To pewna, że „widzenia“ są zjawiskiem dosyć znanem i dosyć często się powtarzającem we wszystkich mniej więcej epokach i wyznaniach. Niegdyś zajmowano się niemi wyłącznie z religijnego lub państwowego stanowiska. I wspomniany korespondent oczekuje wyjaśnień od „świeckiej i duchownej władzy.“ Szkoda, że nie pociąga go ku sobie badanie psychologiczne, objektywne, tych zjawisk duchowych, jakie występują pośród gromadzącego się ludu z większą siłą i wyrazistością, niż w zwyczajnych warunkach; że mianowicie nie interesuje go rozmaity stopień wiary u rozmaitych gromad, zależny od różnych postronnych wpływów, zmiany zachodzące w zjawiskach moralnych, obyczajowych, tak osobistych jak i społecznych itp. Mieszkającemu na miejscu, o kilka wiorst od cudownej sosny, łatwiej poniekąd niż komu innemu byłoby przeprowadzić szereg odpowiednich spostrzeżeń.

Z południowych okolic kraju przenoszę się do Płocka i notuję odezwę stowarzyszenia „Zgoda,“ ogłoszoną w miejscowym *Korespondencie*, a zawiadamiającą p. Lejzora Sznerkla, zamieszkałego we Lwowie, że „Zgoda“ nie wejdzie z nim w stosunki handlowe, dopóki p. Sznerkel w listach swych używać będzie języka niemieckiego zamiast krajowego. Podobnym sposobem odpowiedziała jedna z firm lubelskich warszawskiemu handlarzowi, zalecającemu po niemiecku swój towar. Jeżeli komisya ministeryalna, objeżdżając fabryki na zachodnich kresach Królestwa, pozakładane i prowadzone przez niemców, częstokroć zagranicą nawet mieszkających, zgorszoną była widokiem ksiąg handlowych prowadzonych wyłącznie po niemiecku, to cóż nalezałoby powiedzieć o naszych przedsiębiorstwach kupieckich i kantorach bankierskich, większych i mniejszych, prowadzonych przez ludzi tu zrodzonych, tu wychowanych, a jednak niemczyznę wytrwale krzewiących.

Z okazyi, że wystawa przemysłowo-rolnicza w roku przyszłym nie ma być urządzoną w Warszawie, *Korespondent płocki* wnosi projekt urządzenia jej w Płocku, objaśniając czytelników, że do tego „potrzeba inicyatywy kilku czynniejszych osób.“ Należałoby nadmienić, że oprócz inicyatywy potrzeba także... pieniędzy. Pisma prowincyonalne słusznie czynią, starając się zainteresować do organizowania wystaw gubernialnych; powinnyby wszakże postarać się o zebranie wiadomości choćby najogólniejszych w przedmiocie kosztów niezbędnych do takiego przedsięwzięcia. Danych do kosztorysów dostarczyłyby częścią akta dotyczące wystaw warszawskich, częścią sprawozdanie o wystawie przygotowawczej radomskiej, częścią może nakoniec akta jedynej u nas, o ile wiem, prowincyonalnej wystawy w Lublinie, odbytej około ćwierć wieku temu. *Gazeta lubelska* od pewnego czasu chętnie sięga w przeszłość po materyał do swych artykułów. Historya wystawy lubelskiej powinnaby znaleźć się w liczbie wspomnień miłych lubliniakom.

K. Zbrucki.

WYPOŻYCZANIE KSIĄŻEK.

Ciekawy przyczynek do sprawy własności literackiej i praw autorskich stanowi niedawno w Niemczech rozpoczęta walka autorów przeciw wypożyczalniom książek za abonamentem (u nas zwanym czytelniami).

Sprzeczność interesów autora, wydawcy lub nakładcy z jednej, a właściciela z drugiej strony jest widoczną i zrozumiałą. Nakładca kupuje od autora jego pracę umysłową dla wytworzenia z niej towaru w postaci książki. Powodzenie zaś wszelkiego handlu zależy od zbytu towarów. Im więcej rozsprzedaje się egzemplarzy, tem większym bywa zysk nakładcy, księgarza, pośredniczącego między nim a publicznością, a w normalnych warunkach i dochód autora. Jednocześnie tanieje także towar — książka, tj. zyskuje również czytająca publiczność.

Interes wypożyczalni natomiast polega na zasadzie, iż abonenci czytają książki, lecz ich nie kupują. Stąd wynika, że ona, będąc w stanie zaspakajać ciekawość wielu czytelników za pomocą jednego lub dwu egzemplarzy, przynosi niemałą szkodę autorowi lub księgarzowi, gdyż zmniejsza popyt na książki śród czytającej publiczności.

W Niemczech np. istnieje około 4,000 czytelni, posiadających nader licznych abonentów od sfer najwyższych do najniższych. U nas wprawdzie jest ich stosunkowo niewiele, ale bądź co bądź liczniejszemu powstawaniu ich w ostatnich czasach po części przypisać należy słabnący wciąż ruch księgarski, szczególnie w dziale beletrystyki. Jednorazowe przeczytanie powieści, zajmującego romansu, opisu podróży itp. prawie w zupełności wystarcza i czyni często zbytecznem nabycie książki na własność. W naszych stosunkach trzeba wziąć pod uwagę i niepraktykowaną gdzieindziej drożyznę książek*).

Wobec tej sprzeczności między interesami księgarni i czytelni niektórzy pisarze niemieccy **) podnoszą kwestyę, czy właściciel czytelni, kupując książkę po zwykłej cenie, już przez to samo nabywa prawo do wypożyczania jej niezliczoną ilość razy? Wypożyczanie to wielce się różni od zwykłego użyczenia jakiejkolwiek rzeczy. Jeśli nap. zwracamy pożyczony zegarek, to oddajemy wszystko, cośmy wzięli, nic nie zatrzymując dla siebie. Oddając zaś pożyczoną książkę, zwracamy wprawdzie również rzecz wziętą, jednak zatrzymujemy dla siebie to, po cośmy właściwie książkę wzięli, tj. *jej treść*.

Można zatem powiedzieć, że tu zachodzi nie pożyczenie, lecz kupno - sprzedaż treści książki, z tą korzystną dla właściciela czytelni różnicą od zwykłej sprzedaży, iż on pozostaje nadal posiadaczem książki i może sprzedawać jej treść do nieskończoności, póki książka nie ulegnie zniszczeniu. Otóż z tego punktu widzenia wyzyskiwanie treści przez właściciela czytelni jest niczem nieuzasadnionem i niesłusznem naruszeniem praw autora lub nakładcy. Dlaczegoż-bo on ma być bardziej uprzywilejowanym od nakładcy, który, kupując od autora prawo wydawania książki, nieraz za drogie pieniądze, niemniej pozostaje ograniczonym w możności korzystania z tego prawa? Według brzmienia artykułu 287 „Ustawy o cenzurze ***), prawo powtórnego wydania książki powinno wspierać się na pierwotnej umowie między autorem i jego prawonabywcą, i tylko w braku układu piśmiennego dozwolono wydawcy drukować powtórnie książkę po upływie lat 5 od wypuszczenia w obieg edycyi pierwszej. Jeżeli zatem nakładca nabywa prawo eksploatacyi treści książki w mierze ograniczonej, to zdaje się, rzecz prosta, iż nie może on odprzedawać go wraz z każdym pojedynczym egzemplarzem w mierze nieograniczonej.

Art. 282 „Ust. o cenzurze“ brzmi: „Każdy autor lub tłomacz książki w ciągu swego życia ma *wyłączne* prawo do ciągnięcia *według swego uznania* korzyści z wydawnictwa i sprzedaży takowej, jak z majątku dorobkowego.“ Zdaniem naszem autor miałby najzupełniejsze, w myśl tego artykułu, prawo zabronić posiadaczowi książki zarobkowego jej wypożyczania, zmniejszającego korzyści nakładcy i autora. Że proste nabycie książki drukowanej nie jest wystarczającem dla możności eksploatowania jej treści, widać choćby stąd, iż właściciel teatru obowiązany jest nabyć nieraz za znaczną cenę prawo wystawiania utworu na scenie. Art. 349 „Ustawy o cen.“ stanowi, iż kompozycye muzyczne mogą być (z wyłączeniem oper i oratoryów) wykonywane publicznie, chyba że przy wydaniu utworu zrobiono na drukowanych jego egzemplarzach przeciwne temu zastrzeżenie, pod groźbą dochodzenia sądowego. Otóż, czem wykonanie publiczne dla utworu muzycznego, tem jest wypożyczanie zawodowe dla zwykłej książki, gdyż — i jedno i drugie zmniejsza popyt. Nie byłoby więc przeciwnem prawu postępowanie autora, który, dbając o większą rozsprzedaż swego dzieła w handlu, pomieścił na okładce uwagę, iż wypożyczanie egzemplarza w *formie procederu* zostaje zbronionem pod karą pieniężną. Podkreśliliśmy wyraz *proceder*, aby nie nasunąć czytelnikowi podejrzenia, iż tu mowa o zwykłem pożyczeniu książki. Między ugoszczeniem w restauracyi a w domu prywatnym właściwie niema różnicy, a jednak rząd pobiera opłatę patentową tylko od restauratora, który trudni się tem z zawodu i na gościach zarabia. Również sprawiedliwem zatem jest żądanie autora, aby ten, który z pożyczania książek ciągnie znakomity dochód, zapłacił za egzemplarz więcej, aniżeli prywatny nabywca-czytelnik. Taki egzemplarz byłby zaopatrzony w stosowną uwagę.

Rozumie się, iż, w braku *wyraźnego* przepisu prawa, zgodnego z powyższym naszym poglądem, rozstrzyga kwestyę pytanie, o ile sądy, gdyby przed ich forum wytoczono sprawę podobnego rodzaju, uznałyby zastrzeżenie autora na pojedynczych egzemplarzach książki za obowiązujące nabywcę. Nadmienimy w końcu, że w Niemczech książki z podobnemi zastrzeżeniami już się pojawiły *), a właściciele czytelni, pomimo krzyku na chciwość autorów, wolą zapłacić nieco drożej i nabywać egzemplarze osobnej kategoryi, aniżeli narażać się na proces i ewentualne zapłacenie kary **).

Leon L.

*) Przeciwnie, w wielu wypadkach ceny nasze są daleko niższe od zagranicznych, zwłaszcza angielskich. *Red.*

**) E. Wichert z Królewca, E. Francoz z Wiednia, J. Proëlss z Frankfurtu nad M., O. Welten z Berlina i inni.

***) Rozdział VII „Ustawy o Cenzurze“ (Zbiór pr. cyw. t. XIV) obejmujący art. 282—356, zawiera przepisy o własności literackiej i artystycznej i obowiązuje w Królestwie od r. 1870.

*) Oskar Welten *Nicht für Kinder* Ein Nowellnbuch. Egzemplarze po 5 i 3 marki. Berlin, 1886. (Kara 100 marek).

**) Ze stanowiska słuszności i prawa wywodom tym nic zarzucić nie można, u nas wszakże pada na szalę jeszcze dbałość o rozszerzanie czytelnictwa i oświaty, która np. w Niemczech ofiar nie wymaga. Autorowie a z nimi nakładcy ze strat swych płacą dług obywatelski. *Red.*

KRONIKA BIEŻĄCA.

Towarzystwo ogrodnicze na zwykłem posiedzeniu miesięcznem d. 27 z. m. dowiedziało się z przemówienia prezesa, dziekana Aleksandrowicza, że zarządy kolei Terespolskiej, Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej zgodziły się na przewóz roślin, owoców, drzewek itp. pociągami pospiesznymi za frachtem pociągów towarowych, następnie że 7 grudnia dziekan Jurkiewicz, pogadanką o gruntach ze względem na ich powstawanie, jakość i zastosowanie — rozpocznie szereg jesiennych pogadanek. Podniesiony przez p. J. Kaczyńskiego wniosek o wysyłanie delegatów na wystawy ogrodnicze międzynarodowe odłożyło do ponownego odczytania i rozstrzygnięcia na posiedzeniu następnem. P. Jankowski nawoluje do produkowania napojów owocowych, jabłeczników itp. i sam próby czynić w tym kierunku zamierza.

O dramacie polskim obszerne dzieło opracowuje Kraszewski; w dziele tem pomiędzy innemi pomieszczony będzie przekład utworu dramatycznego łacińskiego z 1722 r., grywanego u jezuitów w Lublinie, w którym to dramacie po raz pierwszy występuje u nas Faust.

Dwieście kalendarzy ma nam ułatwiać rachubę czasu w przyszłym roku, tyle przynajmniej podań o pozwolenie na te wydawnictwa wniesiono do tutejszej władzy prasowej. Z nich koło czterdziestu ma być literacko-informacyjnych, a pozostałe, reklamowe, będą wydane kosztem handlujących.

Nowe linie telegraficzne w roku przyszłym poprowadzone być mają z Siedlec do Białej, z Łodzi do Koła i z Lublina do linii między Krasnym Stawem a Chełmem. Pierwsza z nich kosztować będzie 4,500 rs., druga 4,700 rs., trzecia 3,000 rs.

Dopłaty kolejom żelaznym. Według dzienników petersburskich, kasa państwa wypłaci w roku przyszłym 18-tu kolejom żelaznym, których dochody są zagwarantowane przez rząd, przeszło 13,000,000 rs. Kolej warszawsko bydgoska otrzyma 139,045 rs., warszawsko-terespolska 290,211 rs., iwangrodzko-dąbrowska 1,938,222 rs., nadwiślańska 335,994 rs.

W „Petersb. Wied.“ czytamy: „Pomimo strategicznego znaczenia linii kolei Nadwiślańskiej, personel służby tej kolei, jak wiadomo, składał się dotąd z samych tylko polaków i niemców, którzy, nie bacząc na wzajemną nieprzyjaźń, godzili się tu jakoś ze sobą. W stronie Kowla i Lublina można było jeszcze kiedy niekiedy usłyszeć język rosyjski, ale od Nowej Aleksanderyi do Iłowa, cała służba kolejowa, od konduktora począwszy, a skończywszy na naczelnikach stacyj i magazynów, nie uznaje języka ogólno-państwowego i z pasażerami rozmawia tylko po polsku albo po niemiecku. Obecnie zwrócono uwagę na ten anormalny stan rzeczy i skład osobisty służby ulega wciąż zmianie. Zwrócono także uwagę na wyświetlenie charakteru licznych zakładów przemysłowych, pozakładanych przez cudzoziemców w okolicach Ciechanowa, Mławy i innych miejscowościach w pobliżu linii kolei Nadwiślańskiej. Donoszą również, że takie same środki przedsięwzięte być mają na linii Skierniewice-Aleksandrów.“

Gmach gimnazyum w Łodzi. Zmarły Karol Szajbler, znany przemysłowiec łódzki, zapisał 60,000 rs. na budowę gmachu gimnazyalnego w Łodzi. Obecnie spadkobiercy jego złożyli deklaracyę uzupełnienia tej sumy, niedostatecznej na budowę rzeczonego gmachu, z warunkiem, że budowa będzie prowadzona pod nadzorem ofiarodawców i pod kierunkiem budowniczego przez nich obranego.

Na gimnazyum realne w Lublinie złożono już znaczną liczbę deklaracyj. Pomiędzy innemi p. Eustachy Świeżawski, prezes dyrekcyi szcz. Tow. kred. ziemsk., zadeklarował złożyć na mającą powstać szkołę 6,000 rs.

Gimnazyum. Sprawa założenia gimnazyum realnego w Kaliszu, jak zapewnia organ miejscowy, znajduje się na najlepszej drodze.

Koncert na korzyść studentów uniwersytetu muzykalno-wokalno-deklamacyjny odbył się d. 28 z. m. ze zwykłem, tj. zupełnem powodzeniem. Bilety już na parę dni przedtem były rozsprzedane.

Egzamina na nauczycieli. *Warsz. Dziennik* pisze: Wskutek zastosowania do warszawskiego okręgu przepisów o specyalnych egzaminach, wydanych przez ministra oświaty 15 maja 1870 r., powstał projekt ześrodkowania wszystkich specyalnych egzaminów nauczycieli wyłącznie w tym kraju przy zarządzie okręgu naukowego, który dotychczas, jak wiadomo, zajmuje się jedynie egzaminowaniem na pierwszy stopień klasowy. Zmiana motywuje się doniosłością egzaminów na nauczycieli, w kraju, koniecznością jednostajności kierunku i warunków oceny zasobów wiedzy egzaminowanych, tudzież uciążliwością dla gimnazyów tutejszych dokonywania takich egzaminów.

Towarzystwo lekarskie w Łodzi w tych dniach się zawiązało. Na prezesa wybrany został dr Lohrer, na wiceprezesa dr Jonscher, na sekretarza dr Kolinski, na bibliotekarza dr Rundo, na kasyera dr Likiernik. Zgodnie z ustawą powyższy rezultat wyborów przedstawiony został p. gubernatorowi piotrkowskiemu do zatwierdzenia.

Orzeszkowa przedsięwzięła rozległą pracę, dotyczącą literatury rusińskiej. Początkiem tej pracy są uskutecznione dotąd przez tę autorkę przekłady na język polski powiastek rusińskich. Trudności wynikają: 1) z braku dobrej, małoruskiej gramatyki i słownika, które dopiero w roku przyszłym wydane być mają we Lwowie przez p. Ogonowskiego; ogłoszone dotąd gramatyki są bardzo szczupłe, słownik obszerny istnieje jeden małorosyjsko-niemiecki, inne zaś, małorusko-rosyjski Piuchowa i drobne małorusko-polskie, przyłączone do wydań niektórych pisarzów, np. Wowczka i Fedkowicza, są bardzo niedostateczne; 2) dyalekt rusiński odmienny jest w różnych okolicach, inny u naddnieprzańskiego Wowczka, bukowińskiego Fedkowicza i nadpełtwiańskiego Franka.

Czasopism litewskich wychodzi 12, mianowicie 3 w New-Yorku, 3 w Tylży, po 2 wKrólewcu, Memlu i Prokulnie. Rząd pruski wyasygnował 500 marek na wydawnictwo pieśni ludowych.

Nowe wydanie kronikarzy litewskich przygotowuje komisya archeograficzna w Petersburgu.

Utrudnienie. *Kur. warsz.* opowiada, że niejaki p. L. D., otrzymawszy w tych dniach paszport zagraniczny, udał się o zawizowanie do konsulatu niemieckiego. Tu po złożeniu opłaty, urzędnik manipulacyjny przyłożył stempel, wpisał mu „Fol. 5535 Register 7935“ oraz datę i zaczął się podpisywać, ale rozmyślił się, przekreślił wizę, zwrócił zapłacone pieniądze, a na zapytanie, czemu wizy odmawia, odparł, że nie ma obowiązku się tłomaczyć.

Pośrednictwo. Kupcy ze Strzałkowa i Wieruszowa, miasteczek nadgranicznych, pragnąc pospiesznie wysłać pieniądze do Warszawy, oddają listy nie pocztom miejscowym, gdyż te wysyłają raz na tydzień, ale po-

bliskim zagranicznym pocztom pruskim, jako ekspedyującym codziennie.

Ograniczenie kredytu. Wojowniczy nastrój gazeciarski odbił się na interesach tutejszych. Kapitaliści niektórzy wstrzymali się od udzielania kredytu weksloweg kupcom i przemysłowcom, tłomacząc się niepewnością położenia. Natomiast w bankach depozyty rosną.

Dobra Dolnik z przyległościami, liczące koło tysiąca hektarów, nabył od hr. Łubieńskiego skarb pruski na cele kolonizacyjne.

Spółka zjednoczonych ślusarzy: zawiązana przed 15 laty z początkowania ks. Tadeusza Lubomirskiego, rozwiązała się, a sklep jej wyprzedaje towary po cenie kosztu.

Zmarli. W Petersburgu hr. Ollzar, współpracownik niegdyś *Kuryera wileńskiego*, autor „Obrazków współczesnych,“ wydanych w r. 1858 i kilku sztuk dramatycznych.

— W Krakowie Adam Honory Kirkor; w r. 1863 redagował w Wilnie *Radegasta*, pismo zbiorowe. W r. 1845/6 pod pseudonimem Jana ze Śliwina ogłosił *Pamiętniki umysłowe* w 3 tomach. W 1858 wydał 6 tomów *Teki wileńskiej*, noszącej podobnie jak i poprzednie wydawnictwo zbiorowy charakter. Pomiędzy r. 1860—64 wydawał *Kuryera wileńskiego*, który pod jego kierownictwem liczył z górą 3,000 prenumeratorów, a jednocześnie ułożył *Przechadzki po Wilnie* i *Przewodnik wileński*. Skutkiem zmiany stosunków przeniósł się do Petersburga i zaczął wydawać *Nowoje Wremia* z dążnościami sympatycznemi dla polaków. Niepowodzenie spowodowało wyjazd jego do Krakowa, skąd pisywał do *Dzien. poznańskiego*, *Przeglądu powszechnego* i *Gazety warszawskiej*. Zostawił rękopis o wykopaliskach w gub. płockiej.

— W Wiedniu dr Leopold Kompert, dziennikarz i powieściopisarz, czerpiący do swych utworów beletrystycznych treść z życia żydowskiego.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. A. Kor. Wierszyk nie ma motywów oryginalnych, ale posiada tyle zalet, że prosimy o przysłanie prób innych.

P. Ferd. H. w Heidelbergu. Węclewskiego 1867. Nadto w powszechnej Lewestama i Scherra.

P. M. Ch. w Kijowie. Można. Kraushara kop. 50, Bartusówny 1 zł 20 c.—razem z przesyłką rs. 1 k. 30.

Fultonowi. Tego rodzaju pobieżne notatki nie dla nas.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Ноября 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.